Nr. 41. Warszawa, dnia 10 Października (28 Września) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BEZMYŚLNY ZAMACH.

W ostatnich dziesiątkach lat bieżącego stulecia pewne procesy i żywioły społeczne dojrzały i zróżniczkowały się nadzwyczaj szybko. Ze wszystkich jednak nowych lub odrodzonych gatunków, wytwarzających wrzenie społeczne, najmniej jasno przedstawia się publiczności anarchizm. Wynika to z jego szczupłoty, a także z nieokreślonej natury. Kto mówi, czego chce, poznać go możemy; ale kto mówi tylko, czego nie chce, a przytem nie chce wszystkiego, co istnieje — pozostaje jakością niewiadomą. Daremnie też usiłowałby ktoś zbadać i ująć w jakieś twierdzenie teoryę anarchizmu: nie ma on bowiem żadnych ideałów, programów, oznaczonych celów. Cała jego nauka streszcza się w jednej zasadzie: podminowywać i rozsadzać budowę społeczną, dopóki ona nie runie, a dopiero na jej gruzach usiąść i rozmyślać, co na tem miejscu wznieść wypada. Objawia się tu więc przedewszystkiem pragnienie zagłady. Wynika to już z samej chorobliwej istoty tego gatunku, że chcąc go pojąć, należy szukać dla niego objaśnień nie tyle w ekonomii społecznej, ale raczej w psychologii. Ta ostatnia rzeczywiście dostarcza nam klucza do rozwiązania zagadki.

W każdem społeczeństwie i o każdym czasie znajduje się pewna ilość gotowych maniaków, organizmów rozstrojonych i patologicznych, słowem możliwych waryatów, którzy tylko czekają odpowiedniego bodźca i stosownej chwili dla ujawnienia swego obłędu. Zwykle takim bodźcem, taką chwilą jest dokonywający się przewrót, gwałtowny prąd, potężna idea, która owłada wszystkimi umysłami. Zdrowe walczą z nią lub za nią, chore — pod jej wpływem szaleją. Zatarg między kapitałem a pracą i to wszystko, co stąd wypłynęło, był właśnie ową iskrą elektryczną, która zapaliła niszczące pochodnie anarchizmu. Jest on tedy furyactwem socyalizmu, jak fanatyzm średniowieczny z inkwizycyą był furyactwem religii. Na ostatnim kongresie w Brukselli socyaliści wyłączyli ze swego grona anarchistów i wogóle radziby przeciąć z nimi wszelką łączność, ale jest to usiłowanie drzewa, pragnącego oskrobać się z grzyba. Być może, iż kiedyś albo ten nowotwór zginie, albo zostanie odcięty, tymczasem zaś anarchizm pozostaje szpitalem waryatów socyalizmu. Trudno, każde społeczeństwo musi mieć swój dom dla obłąkanych.

Ci jednak „obłąkańcy przewrotu,“ jak ich ktoś niedawno nazwał w *Prawdzie*, coraz bardziej zwierają się w swój własny światek, z którego ciągle wybiegają bądź z krzykiem, bądź z rewolwerem, bądź z dynamitowym ładunkiem. Wtedy jedynie świat szerszy przypomina sobie o nich. Tak było teraz po znalezieniu bomb pod mostem, przez który miał przejeżdżać cesarz austryacki. Bomby te były zapalone na 10 godzin przed przybyciem pociągu, chociaż by więc doszczętnie zburzyły most, nie mogły spowodować katastrofy; policya nie wykryła wcale sprawców tej obrzydliwości; zrodziło się nawet podejrzenie, iż był to figiel czeski wyrządzony niemcom dla niedopuszczenia do nich monarchy; śmierć Franciszka Józefa nie dałaby żadnej korzyści furyatom przewrotu społecznego; dla czegoż mimo to wszystko, mimo całej głupoty owego zamachu zapisano go na rachunek anarchistów? Dlatego właśnie, że był przedsięwzięciem bezmyślnem, bezcelowem, obliczonem jedynie na wrzawę i zniszczenie bodaj czegokolwiek. Anarchiści bowiem europejscy zyskali sobie zasłużoną sławę bezprzytomnego krzykactwa i szalonych czynów. To nie jest wcale żadna partya z pozytywnem pragnieniem, dążąca do jakiegoś określonego układu stosunków społecznych, ale gromadka bohaterów z galeryi Lombrosa, gorejących ogniem obłąkania. Czują oni jakąś chorobliwą i nieprzepartą słabość do ostrego żelaza, gwałtownego huku (bodaj wyrazów), cieknącej krwi, do śmierci i ruin. Jest to jedyna siła, która nimi porusza. Gdyby się zapytano, czem chcą uszczęśliwić ludzkość, odpowiedzieliby, że o tem jeszcze myśleć nie chcą i nie potrzebują, że nad idealnemi formami życia zbiorowego zastanowią się dopiero wtedy, gdy zniszczą istniejące.

Nawet przypuściwszy, że bomby podłożone pod most w Czechach, pochodziły z rąk anarchistów, musielibyśmy im odmówić wszelkiego symptomatycznego znaczenia. Wszystkich anarchistów europejskich możnaby zmieścić bez tłoku w jednym obszernym szpitalu dla waryatów. Taki zastęp nie zburzy świata, a nawet nie wywoła w nim małej rewolucyjki. Co najwyżej popełni szereg karygodnych psot lub występków. Dopóki anarchizm pływał jak żarłoczny rekin w morzu socyalistycznem i był uważany za jego władcę, przerażał ludzi; ale dziś gdy go z tego morza wyrzucono, gdy on się pluska w błotnistych łachach, przestał być strasznym. Nie ma sam sił i nie wyraża spoczywających w zdrowem łonie ludzkości. Uwija się gromadkami niebezpiecznemi, ale małemi; po za nim nie stoją masy i nie użyczają mu swej mocy. W teoryi zajmuje się nim nie socyologia, lecz psychologia, w praktyce — nie polityka, lecz policya.

Z AUSTRYI.

Podróż czeska cesarza Franciszka Józefa. — Rzekomy zamach pod Libercem. — Owacye wiedeńczyków. — Obrady międzynarodowego instytutu statystycznego w Wiedniu.

Cesarz Franciszek Józef zwiedził wystawę prazką i objeżdża Czechy. Podróż ta, projektowana od dawna, dziś zupełnie ma inny charakter, aniżeli niegdyś rząd ją projektował. Wyobrażano sobie, że będzie ona uwieńczeniem ugody, przeglądem wyników zjednania szczepów zwaśnionych. Tymczasem zaszły zdarzenia, które podróż tę wogóle zakwestyonowały; dziś, kiedy cesarz, ulegając życzeniom, zdecydował się

na zwiedzenie wystawy i kraju, pobyt jego jest tylko ogniwem w łańcuchu starań, dążących do pogodzenia czechów z niemcami. Gabinet pragnął, aby monarcha pojechał, bo spodziewał się, że nie omamią go manifestacye urzędowe i że pozna prawdziwe przyczyny, które spowodowały zastój w dziele ugodowem oraz istotne usposobienia obu stronnictw. W przemowach swych kładł nacisk na dążenie do pokoju wewnętrznego i na przeprowadzenie zgody, która z jego wyszła inicyatywy. Że entuzyastyczne przyjęcie, którego doznał w Pradze, nie przesłoniło mu istotnego położenia, dowodzą słowa wypowiedziane w rozmowie z burmistrzem Pragi. Wspominając o manifestacyach ulicznych w Pradze podczas odwiedzin francuzów i serbów, cesarz napiętnował zachowanie się tłumów jako niepatryotyczne. Wpływ korony, mający w Austryi niezwykłe znaczenie, zapewne i w Czechach spowoduje bodaj chwilową zmianę sytuacyi w kierunku pożądanym dla rządu. Lecz że zmiana ta nie będzie długotrwałą, o tem świadczy chociażby przepowiednia młodoczeskiego posła Herolda, że jeżeli posłowie staroczescy nie złożą mandatów, w przyszłym roku sejm stanie się widowiskiem burzy niebywałej.

Zgrzytem, przerywającym harmonię czeskiej podróży Franciszka Józefa, było rozsadzenie mostu kolejowego przed Libercem. Do dziś dnia nikt nie wie, do jakiego stronnictwa należał sprawca: czy był to ultra-czech, oburzony tem, że cesarz zdąża do głównej siedziby niemców; czy nacyonał niemiecki, pragnący, aby niemcy czescy nie objawili swego austryackiego patryotyzmu; czy wreszcie robotnik, chcący spłatać figla magnatom przemysłowym w Libercu. To tylko pewna, że nie był to zamach na cesarza, gdyż rozsadzono most o dziesięć godzin przed oznaczonym z góry terminem nadejścia pociągu, a to nie wskutek przypadkowego, przedwczesnego pęknięcia bomb, lecz z świadomym zamiarem, znaleziono bowiem lont świeżo jeszcze tlejący. W ciągu dwóch godzin naprawiono most, a cesarz wjechał do Liberca, nie zatrzymując się wcale w drodze.

Wracającemu do stolicy państwa urządzono w Wiedniu owacye niezwykłe. Iluminując domy i przyjmując monarchę okrzykami, chcieli wiedeńczycy wyrazić mu nietylko radość swą wskutek szczęśliwego ominięcia niebezpieczeństwa, lecz zarazem uznanie za trud, podjęty na nowo w sprawie pogodzenia czechów z niemcami i wdzięczność za energię, z jaką przyspieszył stworzenie „Wielkiego Wiednia,“ tj. połączenie przedmieść z właściwym obrębem stolicy. Od lat wielu już nie witano powracającego cesarza w sposób tak uroczysty.

W nieobecności monarchy arcyksiążę Karol Ludwik, który będzie ogłoszony urzędownie następcą tronu, przyjmował w zamku członków międzynarodowego instytutu statystycznego, którzy trzeci swój kongres odbywają w Wiedniu. Instytut ten cieszy się wogóle opieką i sympatyą rządu, czego dowodem było przyjęcie u ministra oświaty.

Ażeby zrozumieć to żywe zainteresowanie się dla instytutu, mającego cechę naukową, nadmienić należy, że statystyka obecnie zajmuje rządy bardziej, niż dawniej. W ostatnich czasach powstał cały szereg nowych urzędów tego rodzaju, o tyle rozgałęzionych i rozległych, że śmiało mówić by można o osobnym statystycznym organizmie administracyjnym. W Austryi, prócz statystycznej komisyi centralnej i statystycznego urzędu handlowego, stworzono niedawno statystyczne urzędy robotnicze, na wzór podobnych, istniejących w Ameryce, Anglii, Francyi i Szwajcaryi. Obok celów naukowych, mają one przeznaczenie praktyczne. Chodzi o zebranie i ugrupowanie materyału cyfrowego, odnoszącego się do głównych dziedzin gospodarczych i społecznych, aby dostarczyć administracyi podstawy dla oceny wyników i niedostatków jej działalności. Wiadomo, jak chętnie rządy powołują się na cyfry statystyczne, które mają powagę nauki, mogą jednak być tłomaczone i zestawiane według każdorazowej intencyi.

Niestety jednak ów niepewny charakter cyfr daje się samym rządom we znaki. Okazało się w ostatnich latach, że wartość statystyki handlowej jest bardzo mała, gdyż cyfry ogłoszone przez różne państwa wcale się ze sobą nie zgadzają.

Międzynarodowy instytut statystyczny postawił sobie za zadanie stworzenie spójni pomiędzy kierownikami biur statystycznych i umożliwienie tą drogą pewnej kontroli materyałów surowych.

Program obrad kongresu obejmuje przegląd ostatnich obliczeń ludności, wymianę list wychodźców, statystykę nauki elementarnej, śmiertelność wielkich miast i wiele kwestyj antropometrycznych i demograficznych. Po obradach tych spodziewać się należy nietylko szeregu zajmującyyh dla świata naukowego wiadomości, lecz zarazem technicznego udoskonalenia aparatu statystycznego, podobnie jak na kongresach poprzednich w Rzymie i w Paryżu.

S-z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak wiadomo, każdy może znaleźć dla siebie „robotników.“ Nieraz w parlamencie niemieckim konserwatyści, ultramontanie lub postępowcy odmawiają Boblom i Liebknechtom prawa reprezentacyi wszystkich robotników, gdyż oni także posiadają swoich. Nic też dziwnego, że kardynał, urządzający pielgrzymkę francuskich do Watykanu, znalazł także papieskich. Co prawda, gdy część z nich dostała się do aresztu, gdzie zbadano ich dowody legitymacyjne, z łupin robotniczych wyłusnęli się nagle adwokaci, studenci itd.; ale nie o to nam chodzi. Główny punkt ciężkości tych odwiedzin spoczywa w zachowaniu się pobożnej kompanii. Pątnicy, nie poprzestając na modłach, błogosławieństwie papieskiem i całej swobodzie, jaką im zapewnił rząd włoski, znieważyli w Panteonie grób i pamięć Wiktora Emanuela. Na wiadomość o tem zerwał się w całym kraju uragan krzyków, złorzeczeń przeciw bluźniercom, a objawów czci dla zmarłego monarchy. Uliczne zbiegowiska, burzliwe zebrania, piorunujące artykuły w pismach nadały położeniu tak groźny charakter, że pielgrzymów musiano co prędzej i to pod opieką policyi wyekspedyować do domu oraz zrzec się dalszych tego rodzaju wypraw. Nieprzyjemne wrażenia, wywołane tą awanturą, musiano aż zacierać na drodze dyplomatycznej. Że Watykan był z niej wysoce

---

16)

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

Śpię do piątej, a może do szóstej godziny. Nie świta jeszcze, kiedy się budzę, mimo to wstaję; z powodu zimna spałem w ubraniu, nie potrzebuję się więc teraz odziewać. Piję trochę wody, otwieram sobie cichutko drzwi i wychodzę, aby uniknąć ponownego spotkania z gospodynią.

Na ulicy z istot żyjących spotykam jedynie policyantów, którzy odbywali prawdopodobnie służbę nocną; wkrótce potem zjawia się kilku posługaczów, którzy wszędzie gaszą latarnie gazowe.

Wałęsam się bez celu, schodzę na Kirkegade i puszczam się w drogę ku fortecy. Napół zmarznięty, głodny, osłabiony siadam na ławce i drzemię długo, długo. Przez trzy tygodnie żyłem wyłącznie chlebem z masłem, który gospodyni moja dawała mi rano i wieczorem; po raz ostatni jadłem przed dwudziestu czterema godzinami; głód znowu bardzo mi dokucza, trzeba jaknajprędzej znaleźć jakiś punkt wyjścia. Z tą myślą zasypiam powtórnie na ławce.

Budzi mnie rozmowa, prowadzona niedopodal; oprzytomniawszy, spostrzegam, że już jasny dzień i wszyscy na nogach.

Wstaję i idę. Słońce weszło ponad wierzchołki gór, niebo jest jasne, przejrzyste; po tylu ponurych tygodniach jasny poranek tak radosne sprawia na mnie wrażenie, że zapominam o wszystkich troskach i zdaje mi się, jakobym już gorsze przechodził czasy. Biję się w piersi i zaczynam nucić sobie cichą melodyę. Głos mój taki jest chory i słaby, że do łez mnie wzrusza. Przecudny dzień, czyste niebo, w świetle skąpane, zbyt potężnie na mnie działają: płaczę głośno.

— Co panu jest?—pyta jakiś przechodzień.

Nie odpowiadam, uciekam, zakrywając twarz rękami.

Schodzę na wybrzeże. W porcie stoi wielki okręt z flagą ruską: ładuje węgiel. Z boku czytam nazwę: Copégoro. Przez jakiś czas przyglądam się z zajęciem ruchowi na tym obcym statku. Już go musiano wyładować, bo unosi się jakie 9 stóp nad powierzchnią wody, a ilekroć węglarze w ciężkich swoich butach przechodzą po pokładzie, głuche echo rozbrzmiewa w całym okręcie.

Słońce, światło, słone powiewy morza, wesołe, ruchliwe życie wybrzeża — wszystko to wzmacnia mnie i do żywszego krążenia krew moją pobudza. Nagle wpada mi na myśl, że mógłbym może tutaj napisać parę dalszych scen dramatu. Wyjmuję tedy papier z kieszeni.

Chcę skreślić odpowiedź mnicha, odpowiedź pełną siły i nietolerancyi; nie udaje mi się. Daję więc spokój mnichowi i postanawiam opracować przemowę sędziego do jawnogrzesznicy; piszę z pół strony i przestaję. Nie trafiam we właściwy ton. Ruch wokoło mnie, śpiew majtków, gwar sprawiony przez windę, ciągły brzęk łańcuchów, cały ten szum nie nadaje się do ponurej, stęchłej atmosfery średnich wieków, do atmosfery, która niby mgłą otoczyć miała mój dramat. Zbieram więc papiery i idę.

Gdybym miał teraz tylko dach nad głową! Namyślam się, zastanawiam; w całem mieście ani jednego nie znam miejsca, gdziebym z godzinę chociaż mógł spocząć. Pozostaje mi tylko wrócić do zajazdu w Vaterlandzie. Krzywię się na samo o nim wspomnienie, powtarzam sobie wciąż, że to nie uchodzi, a jednak coraz więcej zbliżam się do wzbronionego miejsca. Naturalnie, że to nieszczęście — wyznaję; co więcej, to wstyd, wstyd poprostu, ale cóż robić? Nie posiadam ani trochę dumy, wolno mi śmiało powiedzieć, że jestem jednym z najmniej dumnych ludzi na świecie. Idę.

Wreszcie weszdłem na właściwe tory, czuję, że zdołam osiągnąć jakiś rezultat, przy odrobince szczęścia, naturalnie.

U bramy zatrzymuję się i rozważam raz jeszcze. Niech się dzieje, co chce, zryzykować muszę. Chodzi tu przecież tylko o drobnostkę. Naprzód tylko o kilka godzin, powtóre zas, uchowaj mnie Boże, czy kiedykolwiek jeszcze schronienia w tym poszukam domu. Wchodzę w podwórze. Stąpając po nierównych kamieniach, waham się, prawie od drzwi chcę się jeszcze wrócić. Zaciam zęby... Tylko bez żadnej fałszywej dumy! W najgorszym razie mam przecież wymówkę, że przyszedłem ich pożegnać, pożegnać jak przystało i zawrzeć z nimi jakiś układ co do mojego długu. Otwieram drzwi do przedpokoju.

niezadowolony — najzupełniej mu wierzymy, gdyż ona silnie przeciw niemu rozdrażniła ludność i przysunęła ją bliżej tronu. Czego jednak pojąć nie możemy, to wiadomości, że „kardynał sekretarz stanu“ po tem zajściu, w którem Stolica Apostolska używała zupełnej swobody w stosunkach ze swojemi niekarnemi owcami, przygotowywa nową notę do mocarstw, skarżącą się na ograniczenie papieża w tych stosunkach. Albo pogłoska jest fałszywa, albo „kardynał sekretarz stanu“ powinien wybrać inną dla swego wystąpienia chwilę.

Kronika polityczna zapisała dwa zgony, z których jeden był oddawna przewidywany, drugi zaś nagły. W Sztutgarcie umarł król wirtemberski Karol I. Liczył on już lat 68, na których spoczęła ciężka, nieuleczalna choroba. Początkowo był przeciwnikiem przewagi Prus, a nawet w r. 1866 walczył z niemi. Później wszakże uznał konieczność zmienionego stanu rzeczy i stanął obok nich w wojnie z francuzami. Ożeniony z Wielką Księżną Olgą, córką Cesarza Mikołaja, nie zostawił potomstwa. Tron więc po nim przechodzi w dziedzictwie na jego stryjecznego bratanka, Wilhelma.

Nieoczekiwaną przez nikogo była śmierć słynnego przywódcy irlandzkiego Parnella. Był to bowiem człowiek stosunkowo jeszcze młody (nie doszedł lat 50), zresztą tak przyzwyczaił wszystkich do swojej żelaznej, niezłomnej energii, że trudno było przypuszczać, iż stoi nad grobem. Przed kilku zaledwie tygodniami zapowiadał podjęcie walki z przeciwnikami, walki, która wymagała sił nadludzkich. Z drugiej jednak strony, ze względu na tę właśnie walkę, przyznać trzeba, że Parnell nie usunął się ze świata przedwcześnie. Ostatni okres jego życia był już tylko zawziętą, a nieraz gorszącą obroną, a raczej przywłaszczaniem sobie stanowiska, którego mu większość narodu odmawiała. Towarzysze parlamentarni, z wyjątkiem kilku, opuścili go, duchowieństwo wyklęło, wyborcy odmawiali zaufania, mimo to Parnell chciał pozostać wodzem partyi i dyktatorem ludu irlandzkiego. Pod takiem hasłem prowadzona walka nie mogła mu zjednać sympatyi. Gdyby był umarł przed procesem z kapitanem O'Shea i zatargiem, jaki z tej sprawy wyniknął, byłby odniesiony do grobu przez swych rodaków z czcią, jaka rzadko przypada w udziale śmiertelnym. Teraz pożegnają go oni może z żalem, ale nie tak głębokim i nie tak powszechnym.

Nadchodzi już pora prac parlamentarnych, która obiecuje polityce wielkie ożywienie. Sprawy, które rozwijają się w ukryciu, zostaną w sejmach wydobyte na wierzch i rzucą jaśniejsze światło na położenie Europy. Ministrowie pragną zawsze i mogą milczeć zupełnie tylko wtedy, gdy ich ciekawość przedstawicieli narodu nie zacznie dręczyć interpelacyami. A jakkolwiek i wtedy szczere słowa płyną skąpo, niejedno spadnie, a prasa mając kilka wiadomych, zręcznie wynajduje niewiadome.

ROZPORZĄDZENIA URZĘDOWE.

Gazeta policyjna ogłosiła następujące przepisy, obowiązujące młodzież szkolną:

Studenci, zarówno w uniwersytecie, jak po za jego murami, winni ukazywać się w uniformach według ustanowionej formy, przyczem zbronione im jest noszenie lasek lub kijów. Nadto: a) po za murami uniwersytetu podlegają oni na zasadach ogólnych postanowieniom policyi; b) nie wolno im występować jako zarządzający publicznemi procesyami i urządzać na pogrzebach łańcuchy; c) wzbronione im są wszelkiego rodzaju zebrania lub zgromadzania się; d) obowiązani są zawsze mieć przy sobie matrykułę i kartę na prawo uczęszczania na lekcye; e) winni czynić honory, podnosząc rękę do daszka czapki: 1) stając frontem przy spotkaniu Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa, Ich Cesarskich Wysokości: Następcy Tronu, Wielkich Książąt i Wielkich Księżniczek i 2) nie stając frontem: przy spotkaniu JJ. WW. Ministra oświaty, towarzysza jego, kuratora okręgu naukowego, pomocnika jego, Jenerał-Gubernatora, gubernatora, naczelnika miasta, miejscowego arcybiskupa i wszystkich bezpośrednich zwierzchników, oraz profesorów; f) student, który otrzyma urlop na wyjazd, obowiązany jest matrykułę swoją, oraz kartę na prawo uczęszczania na lekcye wręczyć inspektorowi, a z urlopem bezwarunkowo zgłosić się do właściwego cyrkułu dla otrzymania pozwolenia na wyjazd.

Co do uczniów, kurator okręgu naukowego warszawskiego, niezależnie od dawniejszych w tym przedmiocie rozporządzeń, poleca zwierzchnikom zakładów naukowych oraz członkonkom rad pedagogicznych: 1) koniecznem jest prawidłowe zorganizowanie ze strony szkoły, pod kierunkiem dyrektora, codziennego nadzoru nad mieszkaniami uczniów, włożywszy obowiązek w tym względzie głównie na inspektora, gospodarzy klasowych i ich pomocników; 3) ściśle określić czas, kiedy uczniowie wieczorem winni się znajdować w domu, oznaczywszy np. godzinę od 6-ej lub 7-ej, unikając ogólnych niejasno określonych wyrażeń „z nastaniem zmroku“ itp.; 3) przyzwyczajać dyżurnych, zwiedzających mieszkania, aby odnotowywali w dzienniku o każdem wydaleniu się ucznia z domu oraz o czasie ogólnej przechadzki uczniów, wyjścia ich do szkoły, kościoła itd., tudzież o czasie powrotu stamtąd; 4) przyzwyczajać uczniów, aby rzeczy swe utrzymywali w należytym porządku i aby nie posiadali książek i przedmiotow zakazanych przez przepisy lub zbytecznych i niepotrzebnych; 5) rozciągnąć nadzór nad zajęciami uczniów w domu; 6) dopilnować ubrania po za domem według przepisanej formy; 7) zawsze i bezwarunkowo posyłać nadzorców ze strony zwierzchności szkolnej do miejsc publicznych, do których wstęp uczniom jest dozwolony; 8) zawsze zalecać uczniom, że obowiązani są ściśle stosować się do przepisów o grzeczności, a szczególnie wobec starszych; 9) wogóle nie należy nigdy osłabiać nadzoru nad ścisłem wykonywaniem przez uczniów ich obowiązków, porozumiewając się przytem z władzami administracyjno-policyjnemi, w celu pozyskania ich pomocy. W stosunku do zakładów naukowych Warszawy, mam zaszczyt uprzejmie prosić zwierzchników, aby zachowali istniejące rozporządzenie co do podziału miasta na rewiry i przy pomocy całego personelu naukowo-wychowawczego rozciągnęli ścisły nadzór nad uczniami swoimi, gdziekolwiek spotykanymi. Do miejsc zakazanych dla uczniów należy zaliczyć: Dolinę Szwajcarcarska, a wyłączyć cyrk i teatr na ulicy Królewskiej, do których uczniowie, za pozwoleniem zwierzchności szkolnej i w towarzystwie krewnych, mogą uczęszczać.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z ZACHODU.

Wstępne słowo. — Filantropia amerykańska. — Nowe teorye miłosierdzia. — Czego one są odbiciem. — Poprawa moralna. — „Towarzystwo organizacyi Dobroczynności.“ — Jego agenci (*friendly visitors*). — *Penny Savings Banks*. — Czem jest właściwie ta instytucya.

I.

Zanim otworzę moją kronikę niniejszą, winienem wprzód rzec kilka słów wstępnych, wyjaśniających jej genezę i racyę bytu. Społeczno-gospodarcze życie Zachodu nie jest falą dla nas obojętną, obijającą się o nasz brzeg, jak o skałę innorodną, opłukującą się bezsilnie i znowu wracającą tam, skąd wyszła. Przeciwnie, tak brzeg

---

Staję jak wryty. Tuż przede mną, o dwa kroki, stoi gospodarz bez surduta, bez kapelusza i przez dziurkę od klucza zagląda do izby mieszkalnej. Ostrożnym giestem daje mi znak, ażebym się cicho zachowywał i znowu patrzy przez dziurkę. Przytem śmieje się.

Dochodzę do okna, siadam, wyjmuję moje papiery i staram się usunąć od siebie wszystkie zbyteczne wrażenia. Znajduję się właśnie w środku zdania, należącego do owej przemowy sędziego: „Jako więc Bóg i prawo mi nakazują, jako nakazuje mi rada moich mędrców, jako osobie mojej i sumieniu mojemu nakazują...“ Wyglądam przez okno, namyślając się, coby mu właściwie sumienie nakazać winno?.. Z przyległego pokoju dolatuje mnie szelest.. No, to mnie nie obchodzi, to mnie nic a nic nie obchodzi. Cicho. . Cicho!..

„...Jako osobie mojej i sumieniu mojemu nakazują...“

Niepodobna zajść dalej. W końcu wszystko mi się miesza; zdaje mi się, że to, co napisałem, nic nie jest warte, co więcej, że cały ten pomysł jest niemożliwem głupstwem. W wiekach średnich nie może być mowy o sumieniu, sumienie zostało odkryte dopiero przez tancmistrza Shakespeare'a, cała więc ta przemowa jest niedorzeczna!.. Czy więc te kartki nic dobrego nie mieszczą? Przeglądam je znowu i znowu wątpliwości znikają, odkrywam wspaniałe miejsca, długie ustępy wielkiej doniosłości. I znowu w piersi budzi się upajający popęd, który mi każe rozpocząć pracę na nowo, doprowadzić ją do końca.

Wstaję i idę ku drzwiom, nie zwracając uwagi na szalone znaki gospodarza, którymi daje do zrozumienia, że mam się zachować cicho. Stanowczym krokiem przebywam przedpokój, wchodzę po schodach na drugie piętro i staję w dawnym moim pokoju. Teraźniejszy jego właściciel jest na dole u gospodyni, dlaczegóżbym więc nie miał posiedzieć tu chwilkę. Z rzeczy jego nic nie ruszę, nawet stołu nie użyję, usiądę sobie na krzesełku koło drzwi — zupełnie się tem zadowolę. Spiesznie rozkładam papier na kolanach.

Przez kilka minut praca idzie mi doskonale. W głowie mojej powstaje odpowiedź za odpowiedzią, piszę bez przerwy. Wypełniam jedną stronicę po drugiej, zwalczam wszystkie przeszkody. W duszy rozkoszuję się tym szczęśliwym nastrojem, zapominam prawie o sobie. Słyszę tylko jeden dźwięk: dźwięk radości, która mi gra w sercu! Nasuwa mi się myśl bardzo szczęśliwa: w pewnem miejscu dramatu odezwie się nagle dzwon kościelny... Dramat staje się przedziwnie piękny.

Wtem słyszę kroki na schodach. Drgnąłem, rozpacz mnie chwyta, siedzę jak na szpilkach: nieśmiały, gotów do ucieczki, trwogą przejęty i przez głód do najwyższego zirytowany stopnia, nasłuchuję nerwowo, trzymam ołówek w ręce i czekam, nie będąc w stanie pisać dalej. Drzwi się otwierają: wchodzą gospodyni i gość.

Zanim zdążyłem się wytłomaczyć, gospodyni, nie mogąc widocznie pojąć, co się stało, krzyknie:

— A to co! Boże moj, znowu tu siedzi!

Otwiera drzwi naoścież:

— Zaraz mi się pan stąd zabieraj, bo jeżeli nie, to niech mnie dyabli wezmą, jeżeli nie poślę po policyę..

Podnoszę się.

— Chciałem tylko pożegnać panią—mruczałem — i dlatego musiałem czekać. Niczego tu nie dotknąłem, siedziałem tam, na tem oto krześle!..

— Nic nie szkodzi! rzeknie gość. Niechże mu pani da spokój!..

Kiedy jestem już prawie na dole, ogarnia mnie nagle wściekła złość na tę grubą babę, która mi nastaje na pięty, aby mnie tylko pozbyć się co prędzej; staję, mam na języku najstraszniejsze przekleństwo i gotów jestem rzucić jej to wszystko w twarz. Opamiętanie przychodzi jednak w porę, milczę, milczę tylko z wdzięczności dla tego nieznajomego, który idzie za nią i z pewnością grubiaństwa moje by słyszał. Baba stąpa za mną, wymyślając bez tchu; wściekłość moja wzmaga się za każdym krokiem.

Wchodzimy w podwórze, idę bardzo wolno, rozważając wciąż jeszcze, czy wszcząć z gospodynią sprzeczkę, czy nie? W tej chwili jestem w furyi, myślę o najstraszniejszym przelewie krwi, o pchnięciu w okolicę brzucha, pchnięciu, któreby ją na miejscu zabiło... W bramie przechodzi koło mnie posłaniec i kłania mi się: nie odpowiadam. Zwraca się do gospodyni — słyszę, że o mnie pyta, pomimo to nie odwracam się.

Oddaliłem się już na parę kroków, posłaniec dogania mnie i pozdrawia. Podaje

nasz jest jeno progiem doczesnym, jak i sama fala owa nietylko liże go, ale przepływa przezeń i zamyka w sobie zarówno same nasze stosunki przedmiotowe, jak też i odbicia ich ideologiczne — nasze prądy duchowe. Jesteśmy jednem z ogniw w łańcuchu, spajającym ludy objęte cywilizacyą tegoczesną — w jeden organizm wytwórczo-wymienny. Socyolog, głębiej sięgający okiem w rdzeń rzeczy, dojrzy w naszem społeczeństwie te same zasadnicze pierwiastki jego budowy i, wyjąwszy pewne miejscowe odchylenia — to samo ich ustosunkowanie, co gdzieindziej w świecie, bardziej od nas posuniętym w rozwoju. Pierwiastki te, po za naszą miedzą, pod względem wzajemnego do siebie położenia zróżnicowały się i jasno odgraniczyły w swoich dążeniach zbiorowo-osobistych i w zwierciedle istotnej krytyki społecznej znalazły umiejętną analizę i klasyfikacyę. Dojrzałe stosunki przedmiotowe wydały z siebie — dojrzałą samowiedzę. W jakimkolwiek więc zakresie życia społecznego pragnęlibyśmy zasięgnąć wskazówek u naszych sąsiadów: już to np. w sprawie stowarzyszeń współdzielczych, związków zawodowych dwóch zasadniczych działów produkcyi — rolnictwa i przemysłu, w szczególności, filantropii, czy zresztą co do innych środków leczniczych na niemoc chwili dzisiejszej — znajdziemy tam gotowy klucz zagadki w bogatem doświadczeniu i ocenie zjawisk życia zbiorowego. Mając to wszystko na względzie, chcemy te fakty, które wyłonią się gdzieindziej ze stosunków dojrzalszych, a oświetli je krytyka umiejętna, o ile nie będą roztrząśnięte na innem miejscu *Prawdy* — wyczerpać w naszej rubryce i przedstawić, w miarę potrzeby, przedmiotowo.

Tymczasem zatrzymamy uwagę czytelnika — na filantropii północno-amerykańskiej.

Ziemia „yanke'ów“ nie jest zgoła obiecaną: nie wszyscy jej synowie kąpią się w rzekach płynących miodem i mlekiem. Ojczyzna „trustów,“ podniesionych do wielokrotnej potęgi, reklamy potwornej i wynalazków, świat olśniewających, rączo dotarła do mety, u której kończy się dobrobyt mas, a zaczyna: pauperyzm i źródło jego — sprawa społeczna. Oba te zależne od siebie zjawiska korzenią się głębiej, niż oko pani Mac-Gahan sięgnąć może *). Uwiedziona bałamutnem zdaniem myślicieli i działaczów amerykańskich, uwierzyła, że przynajmniej pierwszy z tych objawów (pauperyzm) jest kozłem ofiarnym napływu europejskiego. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby i na nią część winy nie spadała, ale jest ona, wobec ważniejszej i przeważnie twórczej — tylko przyczyną uboczną; ciosy zaś, wymierzane wychodźtwu europejskiemu z katedr uniwersyteckich, są jednak mylnie skierowane. To też poważna krytyka nie omieszkała wykazać naciągania w wywodach znawców społecznych i publicystów amerykańskich. Ten sam los spotkał większego kalibru bombę profesora w newyorskim Columbia College — dzieło p. n. *Emigration and Immigration*, które napisał Richmond Mayo Smith. Rok 1783, w którym mocą kongresu wersalskiego Związek północno-amerykański uzyskał niezależność polityczną, uważa on za punkt zwrotny w sprawie zaludnienia tego państwa. Wychodźcy, którzy w niem przedtem osiedli, są w jego oczach ludnością rdzenną, potomstwo ich — tubylcami. Ci, co potem napłynęli — to wchodźcy. Zgodnie z tą dziwaczną teoryą, oblicza, że w 1888 takich tubylców Związek miał 29 milionów i takich przybyszów — 25 milionów. Stosunek ten przeraża go — tak samo, jak inny fakt, że rocznie Europa zasila „yanke'ów“ pół milionem ludności „zbytecznej“ u siebie — zaleca więc użycie środków ograniczających ten napływ, drogą międzynarodowej polityki przeciwwychodźczej. Słusznie też Schoenlank odpowiada mu, że należałoby raczej zamiast tych rad jałowych, zbadać i usunąć główną przyczynę niedoli — ucieczki się ostatecznie, w braku czegoś lepszego, bodaj do międzynarodowej ochrony prawodawczej najemników.

Bądźcobądź, pauperyzm Związku jest faktem stwierdzonym, sroży się groźnie, częstokroć bywa dziedzicznym i nosi w swem łonie płód, który, wyszedłszy na świat, ciężko może zaważyć na szali życia społecznego za oceanem. Profesor Ely, autor książki p. n. *Philantropy*, torującej drogę nowym poglądom na miłosierdzie, stwierdza, że pauperyzm amerykański wyraża się stosunkiem: *jednego* żebraka na *trzydzieści* osób majętnych, w innych zaś miejscowościach, *jednego* na *ośmnastu*, a nawet *piętnastu* obywateli zamożnych! Zważywszy, że, pomimo całego ogromu armii niemieckiej, na każdą *setkę* mieszkańców przypada tylko *jeden* żołnierz—pyta, co z dwojga złego jest dotkliwsze: militaryzm dla niemca, czy pauperyzm dla amerykanina? Badania nie ograniczyły się do określenia rozmiarów zła, ale poszły dalej — aż do oznaczenia jego charakteru, aż do wyjaśnienia jego warunków powstania. Ale i pod tym względem nie wyrzeczono ostatniego słowa, któreby najbliższem było prawdy. Zatrzymano się na zjawisku dziedziczności nędzy. Znaleziono, że mnożność warstw niemajętnych jest nierównie większą, niż klas zamożnych. Dane statystyczne o przekazywaniu z rodziców na potomstwo występności i pauperyzmu — są przerażające. Jeden z publicystów, Dugdale, podaje np. następujące dzieje pewnej rodziny takich paryów społecznych. W liczbie 540 osób z sześciu pokoleń Jukes'ów było dziedzicznych wyrzutków społeczeństwa: żebraków 148, zbrodniarzy 49 i prostytutek 73!.. Do tego dodajmy jeszcze bardziej groźnych porządkowi ustalonemu — wyznawców idej przewrotowych, które w proletaryacie miast północno-amerykańskich znajdują grunt podatny, a zrozumiemy znaczenie środków zapobiegawczych, do jakich ucieka się mieszczaństwo Związku.

Ze swojej postaci są one w Nowym-Świecie tem, czem i w Europie — filantropią. W nowem środowisku, hołdującem namiętnie ideałom wybitnie indywidualistycznym, uległy tylko pewnej zmianie co do treści. W stare worki wlano nowe wino: filantropię yanke'ów ożywia przedewszystkiem duch humanizmu — dążność do przywrócenia jednostkom wykolejonym godności osobistej, do utrzymania ich na poziomie wymagań atomizmu społecznego. Nadto, nie chce ona mieć żadnej łączności z zadaniami miłosierdzia kościelnego i w działaniu pragnie ujawniać się drogą inicyatywy prywatnej. Zosobniczony do szpiku kości obywatel Związku ze wstrętem odwraca oczy od państwowo-społecznych wzorów

*) *Wiestnik Jewropy*, rok 1891, zeszyty: lipcowy i sierpniowy. „Pauperyzm w Stanach Zjednoczonych.“

---

mi list. Gwałtownie, niechętnie rozrywam kopertę, z koperty wypada papierek dziesięciokoronowy, zresztą nic, ani słowa.

Patrzę na niego i pytam:

— Co to za kpiny? Od kogo ten list?

— Nie wiem! — odpowie — dała mi go jakaś pani.

Staję. Posłaniec oddala się. Wkładam papierek napowrót do koperty, mnę ją wraz z pieniędzmi, wracam, przystępuję do gospodyni, która ciągle jeszcze okiem za mną śledzi, rzucam jej papierek w twarz. Zresztą nic mówię nic, ani słowa; zauważam, że podnosi papier, bada jego zawartość...

Ha, ha! Oto postępek honorowy! Nic nie mówić, nie wdawać się z hołotą, spokojnie zmiąć papierek znacznej wartości pieniężnej, cisnąć go prześladowcom w twarz. Tak postępują godni, tak należy postępować z nimi, z temi bestyami!

Dochodzę do rogu Tomtegade i placu kolejowego, gdy wtem nagle ulica poczyna kręcić się wraz ze mną — padam całem ciałem na mur. Chodzić po prostu już nie mogę, nie mogę się już wyprostować: jak runąłem na mur, tak stoję; czuję, że tracę przytomność. Furya moja wzmaga się jeszcze przez ten atak wycieńczenia, podnoszę nogę i tupię o chodnik. Nie dosyć na tem; dla odzyskania sił, zaciskam zęby, marszczę czoło, przewracam oczy — to pomaga. Myśl się rozjaśnia, pojmuję, że stan ten jest początkiem zaniku. Wyciągam rękę i odsuwam się od muru; ulica ciągle jeszcze kręci się ze mną w kółko. Ze złości zaczynam czkać; z całej duszy staram się zwalczyć moją słabość, trzymam się walecznie na nogach, byle tylko nie upaść; nie chcę paść, pragnę umrzeć, stojąc. Koło mnie wolno przesuwa się wózek; widzę, że leżą na nim kartofle; lecz z furyi, z uporu twierdzę, że to nie ziemniaki, ale kapusta... Klnę straszliwie, że to kapusta. Słyszę własne słowa, przysięgam wciąż na to kłamstwo tylko dlatego, aby mieć smutne zadowolenie, że popełniam krzywoprzysięztwo. Upajam się tym bezprzykładnym grzechem, podnoszę trzy palce i drżącemi ustami przysięgam, że to kapusta.

Czas mija. Siadam na jakichś schodkach, ocieram pot z czoła i szyi, staram się oddychać równo, zmuszam się do spokoju. Słońce zachodzi, już dawno po południu. Znowu zaczynam rozmyślać nad mojem położeniem; głód mój staje się bezwstydny; za parę godzin zapadnie noc, trzeba znaleźć radę, póki czas. Myśl moja zaczyna krążyć znowu koło zajazdu, z którego mnie wypędzono; w żaden sposób powrócić tam nie chcę, a jednak o niczem innem myśleć nie umiem. Właściwie kobieta ta wypędzić mnie miała prawo... Jakże mogłem przypuszczać, że mi kto da mieszkanie darmo? Nadto jeść mi przecież dawała, nawet wczoraj wieczorem, pomimo gniewu, zaofiarowała mi chleb z masłem, zaofiarowała mi go z litości, bo wiedziała, żem głodny. Nie wolno mi się przeto uskarżać — w głębi duszy przepraszam ją już za moje postępowanie. Zwłaszcza żałuję, żem jej w końcu okazał niewdzięczność, rzucając w twarz dziesięciokoronówkę...

Dziesięciokoronówka! Od kogóż był ten list, wręczony mi przez posłańca. Teraz dopiero zaczynam się nad tem zastanawiać, coś miarkować! O mało nie konam z bólu i ze wstydu, ochrypłym głosem bez końca powtarzam „Ylajali“ i kiwam głową. Czyż to nie ja wczoraj postanowiłem, że przy pierwszem spotkaniu dumnie ją ominę i największą okażę jej obojętność. I oto zamiast tego wzbudziłem w niej litość, wyzyskałem dla siebie ofiarę jej miłosierdzia. Nie, nie, nie, poniżenie moje nie ma granic! Nawet wobec niej nie umiałem zająć odpowiedniego stanowiska; upadam, upadam wszędzie, gdziekolwiek się zwrócę, upadam aż po kolana; aż po piersi, nurzam się w bezcześci i nigdy, nigdy już nie wypłynę. Stanąłem na punkcie kulminacyjnym! Przyjąć jałmużnę dziesięciu koron, nie będąc w stanie wypłacić się nieznajomemu dawcy, zagrabiać marne szelągi oburącz, gdzie się tylko da, zatrzymywać je, opłacać niemi mieszkanie, mimo serdecznego wstrętu...

Czy nie uda się wydostać znowu tych dziesięciu koron — w jakikolwiek sposób... Pójść do gospodyni, zażądać zwrotu pieniędzy, to chyba nie pomoże!

Lecz znajdę inną radę, znajdę, jeżeli dobrze poszukam, zastanowię się. Na Boga, tu nie dosyć rozważać zwyczajnie, trzeba zastanawiać się całą swoją istotą, byle tylko wydostać te dziesięć koron. Siadam więc i rozmyślam.

(D. n.).

niemca lub anglika. Jałmużnicza pomoc bractw religijnych uległa szczególnie ostrej krytyce, że tak powiem — „neo-filantropów." Stwierdzono, że w jednym New-Yorku na wsparcia ubóstwa „marnuje się" rocznie 7,375,000 dolarów; rada miejska szafuje półtora miliona, różne towarzystwa i zakłady dobroczynne 4 miliony, 375,000 kościół, resztę — osoby prywatne. Jeden z teoretycznych szermierzy nowego prądu filantropii, Ely, profesor ekonomii politycznej w Johns Hopkins University (Baltimore), zarzuca kościołowi wprost, że trzyma się błędnej drogi. Zamiast rozdawnictwa jałmużny, należałoby mu dbać więcej o podniesienie moralnego poziomu warstw pracujących — o szczepienie idei „równości wszechklasowej..." Jałmużna bowiem jest bronią obosieczną: rozleniwia jej odbiorców i wyzuwa ich z godności osobistej i samodzielności. Czytelnie i kuchnie bezpłatne, kluby i wykłady wiedzy popularnej z tych samych powodów — chybiają celu. Cóż natomiast?

Zagadnienie społeczne — a są niem według filantropów nie jego warunki, tkwiące w ustroju, lecz jedno z ich zjawisk najwidoczniejszych: pauperyzm — da się rozwiązać dopiero drogą obyczajowo-umysłowego podźwignięcia wykolejonych, ale na gruncie ich własnego otoczenia. W parze z tem usiłowaniem iść winno wspieranie oddzielnych rodzin, ale nie jałmużną — przykładem, sprowadzaniem z manowców ubóstwa na ścieżkę cnót drobnomieszczańskich: oszczędności, gospodarności domowej i wogóle — samopomocy. Trudu tej swojego rodzaju „pracy u podstaw" jąć się winna młodzież obojga płci klas posiadających: wychowańce i wychowanki różnych „university" i „college'ów" — młodzi początkujący lekarze, prawnicy, „błękitne pończoszki" itp. ludzie, którym przyjazne stanowisko społeczne zapewnia dobrobyt, wczas i sporo energii, niespożytej w bezczynności. Mozolny to wprawdzie wysiłek i sposób rozwiązywania kwestyi—możnaby go scharakteryzować anegdotą o „węgrzynie" wędrownym, który zalecał kucharce najpewniejszy sposób tępienia pcheł: „złapać każde zwierzątko i zadać mu w pyszczek trucizny" — żmudny zaiste, wszelako sympatyczniejszy indywidualiście amerykańskiemu, niżeli stwarzanie ogólnych warunków rozwoju klas nieposiadających, zalecane przez George'ów, bellamistów i socyalizm państwowy europejczyków. Czemu?

Stan rzeczy chwili obecnej w Nowym-Świecie zarysowuje się w następujących konturach. Zarówno w przemyśle, jak i rolnictwie, wymianie i przewozie objawia się ustawicznie, a postępowa dążność łączenia sił wytwórczych — biegunowego zespalania się kapitałów i pracy; obok tego procesu wzbiera prąd agitacyi georgeowskiej na rzecz uspołecznienia ziemi, zniesienia banków prywatnych, upaństwowienia dróg żelaznych, telegrafów, tramwajów itp.; dalej znów, chociaż z istoty swej utopijny i ożywiony jeno dobremi chęciami — ogarnia pewne żywioły społeczne ruch „nacyonalistyczny," spłodzony przez Bellamy'ego. Tak sam przedmiotowy bieg życia, odlany w postaci zcśrodkowania produkcyi (trustów, ringów i kornerów), jak łączność klasowa najemników i dalsze obu tych prądów dopełnienie: ideje George'a (*single-tax*, itp.) oraz rozkwit poglądów społeczno-demokratycznych — pracują społem nad utorowaniem drogi kolektywizmowi i zadają śmiertelny cios ideałom „atomistów społecznych" (popleczników gospodarki osobniczej). Ale są u dołu społeczeństwa jeszcze nietknięte żadnym z tych prądów i nie wcielone w żadne kadry organizacyjne — zastępy biedaków, inwalidzi produkcyi towarowej, zniedołężniali w długotrwałej nędzy dziedzicznej lub niedostatku: istnieje cały, tak zwany, *Lumpenproletariat*. Jeżeli i on da się porwać fali, która pędzi dzieje ludzkości w przyszłość — co się stanie z ustrojem, przekazanym przez przodków?

Jedno jest tylko zbawienie. „Odpadki" społeczne trzeba podnieść „poprawą moralną," zbliżyć do klas posiadających, zbratać je z niemi, przywrócić im godność osobistą, utraconą w poniewierce życiowej, wdrożyć zasady samopomocy i wpoić ideję „równości wszechklasowej," którąby stanowiła zawczasu zaporę złowrogiej idei „walki klasowej," wypiastowanej na łonie antagonizmu klasowego. „Niedołęgów," a szczególnie ich młode latorośle (dzieci), zdziczałe i pędzące żywot po za mechanizmem ustroju, należy wziąć za ucho, ale ręką humanizmu, przybliżyć do kółek i sprężyn ustroju, pokazać każde po szczególe, nauczyć, jak działają w ruchu, przyczepić je do nich transmisyą *businesu* i zjednać w ten sposób dla obrony.

(D. ...

BADANIA NAUKOWE.

KAPITALIZM W SZTUCE I NAUCE.

W przybytkach rozpraw i zabaw gwarnych, w ustroniach ascetyzmu lub przybytkach modlitwy, na murach ulic, przyczółkach mostów i fasadach domów, a nawet na przedmiotach najcodzienniejszego użytku, czasy średniowieczne uparcie odtwarzają ponury temat tańców śmierci. Dłuto i pędzel gorliwie pokrywają nim każde wolne miejsce w świątyniach i domach ludzkich, poeta uwiecznia go w słowie rymowanem, baletnik wysławia w żywych obrazach. Może myśl demokratyczna wieków średnich mściła się w ten sposób i protestowała przeciwko różnobarwnej niby mozajka hierarchii feodalnej, a nie mając siły „uderzyć w czynów stal," szukała ucieczki w sztuce i przypominała dostojnikom ówczesnym, że wszyscy jesteśmy równi wobec śmierci; może pierwszy pochop dały ascetyczne rozmyślania nad światem, z pogardą patrzące na wszelkie zachcianki „osła," jak wtedy zwano ciało, i nawołujące do skruchy wyzywaniem bezustannem znikomości „tego padołu płaczu." Mniejsza zresztą, jakiej natury była najpierwsza pobudka. Faktem jest, że taniec śmierci uprawia z zamiłowaniem demokratyczną ideę równości. Śmierć-matula, przedstawiana w postaci ohydnego kościotrupa, prowadzi pląsy, a zaprasza do nich każdego bez względu na stanowisko. Wszyscy są równi w jej obliczu, feodalny możnowładca rozkazujący licznym włościom i najostatniejszy ciura żyjący z kradzieży i podłości, tłusty opat umiejący pogodzić śluby czystości i wstrzemięźliwości z zaspakajaniem wszelkich żądz i wychudły pustelnik, spędzający życie na katowaniu swojej cielesnej powłoki, wyniosła dama odbierająca hołdy od rycerzy na turniejach i najgorsza ladacznica obozowa. Wszystko, co żyje na najrozmaitszych szczeblach drabiny feodalnej, miesza się w tym samym korowodzie śmierci, basa zapamiętale lub ciągnie tłumnym orszakiem pod przygrywkę ponuro-rozpasanej melodyi, którą kościotrup wybija na własnym szkielecie...

Ów złowrogi twór mistycyzmu demokratycznego wieków średnich staje mi przed oczami, ilekroć poczynam wglądać w życie teraźniejsze. Rzekłbyś, świat cywilizowany został porwany szczególnym szałem, od którego talent, rasa, wyznanie ani stanowisko nie zwalniają. Gdyby artyści średniowieczni, którzy dłutem, pędzlem i słowem pracowali nad uwiecznieniem pląsów śmierci, zmartwychwstali, zdziwiliby się, widząc, że cała doczesność ziemska wieku XIX skacze w podobnie ogólnym korowodzie. Wprawdzie zamiast kościotrupa ujrzeliby Mamonę, nawołującą wszystkich imieniem mieszczańskiego braterstwa do wzięcia udziału we wspólnym orszaku; zamiast taktu wybijanego na własnych kościach, nowoczesna przewódczyni podrzucałaby złoto, które uderzając o siebie lub spadając na ziemię, wydawałoby odpowiednią melodyę. Nie postrach i smutek lub radość z nadejścia wyzwolenia malowałyby się na twarzach współuczestników, lecz chciwość i żądza z cierpieniami głodu lub namiętnością użycia. Zgodnie z wiekiem „indywidualizmu" — zohydzono i to szczytne hasło, każąc mu okrywać brudy wolnej konkurencyi — każdy, przyjmujący udział w tym kankanie Mamony, tańczy pojedynczo, patrząc z podełba i podejrzliwie na wszystkich razem i każdego z osobna. Świat cywilizowany jest faktycznie jakby jednym olbrzymim takim korowodem! Jeśli czasy średniowieczne ozdabiały powierzchnię swoich gmachów konwulsyami śmierci, o ile z większą słusznością moglibyśmy nasze urozmaicać kankanami Pieniądza! Nie ma dla mnie najmniejszej wątpliwości, że przyszłość daleka ochrzci nasze dzieje nie nazwą epoki maszyny parowej lub elektryczności — te wynalazki, z których tak chełpią się filistrowie wieku XIX zmaleją przed dalszym postępem technicznym—lecz sięgnie do podstaw głębszych, bo społecznych, i nada naszym czasom miano epoki fetyszyzmu pieniężno-towarowego, kiedy człowiek, uwikłany w sieć nieokiełznanych sił społecznych, ujarzmiony dziełem rąk własnych, widział w pieniądzu jedyne bóstwo swoje, jedyny środek i jednocześnie cel istnienia. My sami, jak zwykle bywa z ludźmi zrodzonymi i wyhodowanymi w szczególnej atmosferze, utraciliśmy wszelką wrażliwość w tej mierze, a niekiedy brak nam nawet poczucia nienormalności szału pieniężnego. Nowoczesny kankan Mamony utracił dla nas wszystkie swoje ostre rysy i wydaje się rzeczą najpospolitszą w świecie, właściwą wszystkim ludom globu ziemskiego i wszystkim epokom dziejowym. Co więcej, niejednemu umysłowi, spętanemu wzorami teraźniejszości, samo podnoszenie podobnych kwestyj wyda się nietylko przesadą, lecz dowodem skończonego marzycielstwa, jeśli nie warcholstwa. Australczyk, dzięki wymaganiom swojego bytu, rozwinął zdolności wzrokowe w najwyższym stopniu. Przedstawiciele tego szczepu bawią się, np. poszukując na piasku pod drzewami pomiotu pszczół. Gdyby człowiek z podobnie wyćwiczonym wzrokiem znalazł się pomiędzy nami i zaczął popisywać się swoją właściwością, patrzylibyśmy nań jako na białego kruka, chociaż byłby to osobnik, niewybiegający po za przeciętną normę w innem otoczeniu. W podobny, a nawet gorszy sposób filister spogląda na każdego, kto przerwie mu bezwładność umysłową rozprawami o fetyszyzmie pieniężno-towarowym. A jednak całe ustroje społeczne, bardzo licznie istniejące jeszcze dzisiaj po różnych zakątkach naszego globu, składają się z takich nieuczonych krytyków, widzących przewrotność tam, gdzie my dostrzegamy sprawę jak najzwyklejszą. Zwróćmy się chociażby do członków ukrytej tu i owdzie w ustroniach górskich zadrugi południowo-słowiańskiej. Zapytajmy kogoś z osób w niej zrodzonych, czem mu się wydaje nasz porządek pieniężno-towarowy w swojej postaci rozwiniętej, jaka istnieje w ogniskach naszej cywilizacyi. Bez chwili wahania odrzekłby, że jego zdaniem chodzimy wszyscy do góry nogami. W zadrudze spożycie jest jedynym a bezpośrednim celem całej działalności ekonomicznej. Człowiek spożywa tutaj nie po to, aby w pokarmie zdobył siły do dalszej pracy lub do gromadzenia zysków. Z tego punktu widzenia traktuje on swój wóz, którego oś smaruje od czasu do czasu tłuszczem, ażeby usunąć tarcie, oraz swój inwentarz, który karmi żeby później wyzyskać odtworzoną w ten sposób siłę roboczą, lecz nigdy nie

własną swoją osobę. Sam sobie stawia on inne cele. Pracuje, bo musi, gdyż tem przekleństwem obarczyła go natura jego, która nie przestaje na oddychaniu powietrzem jak roślina i wyciąganiu soków z ziemi, lecz każe imać się mozolnego wysiłku, żeby zdobyć coś pożywniejszego. Wyznaje on jednak zawsze, że spożycie jest głównym celem życia, praca z produkcyą — jedynie drogami do niego. A zatem piecze chleb, aby zaspokoić głód; syci miody, żeby ugasić pragnienie. Jakość wyrobu stanowi dlań rzecz pierwszorzędnej wagi; gastronomia, ów cenny i szlachetny kunszt, zohydzony dopiero przez wyuzdanie patrycyuszowskie, feodalne i burżuazyjne, zaprzęta myśl jego w najwyższym stopniu. Inaczej dzieje się w społeczeństwie pieniężno-towarowem. Piekarz np. wypieka chleb tylko po to, iż spodziewa się na nim zrobić majątek. Sprzedaż zyskowna, tj. zamiana przedmiotu spożywczego na pieniądz w większej ilości, niż tu, jaką wydał na produkcyę, jest jedyną pobudką jego działalności ekonomicznej. Jedzenie zdrowe, pożyteczne zdrowiu, mało go obchodzi, lub też o tyle jedynie, aby nie zraził kundmanów. To samo zobaczymy w życiu ekonomicznem na każdym kroku. Ekonomia polityczna, nauka, która wymagania i widnokręgi naszego piekarza zamieniła na nowe dziesięciorgo przykazań, zna tylko produkcyę i wartość wymienną, technikę wytwarzania i obiegu. Dawna, zachowana tu i owdzie w radach staroczesnych agronomów, uwzględnia tymczasem zawsze spożycie i obok wskazówek produkcyi podaje też recepty przyrządzania potraw. Obłudnik mieszczański, mimo że lubi karmić się obficie i smacznie, milczy o tej szczerości porządków naturalnych i gastronomię wyklina jak może. Ewangelia jego, znająca jedynie produkcyę, zaleca każdemu i zachwala oszczędność jako najwyższą cnotę. Lecz stosunki pieniężno-towarowe, kiedy już utrwaliły się mocno, nie poprzestają na takiem wykoszlawieniu celów działalności ekonomicznej, zaprzątniętej wyrobem dóbr materyalnych. Wszystkie siły fizyczne i duchowe istoty ludzkiej, chociażby były nierozerwalnie związane z organizmem, zostają rzucone w ten sam wir wszechwymiany i wszechsprzedaży i oceniono w uncyach złota. Za gminowładztwa naturalnego kobieta hodowała swoje wdzięki jako najnaturalniejszy środek podwyższenia przyjemności, płynących z obcowania płciowego; dzisiaj, za panowania wymiany, czyni to, aby sprzedać się jak najdrożej, nic licząc, że zamiast rozkoszy dozna nieraz wstydu. Poeta owego okresu ekonomicznego śpiewał z tych samych powodów jak ptaszyna leśna — dla swojej i ludzkiej uciechy. „Był szczęśliwy bogaty, gdy od chaty do chaty przechodził całe sioło... grał od serca, grał wiele." Dzisiaj, jeśli jest śpiewakiem, wytęża swoje gardło tylko po to, aby zebrać jak najwięcej złotego kruszcu lub raczej jego papierkowego zastępcy. Wydobywanie jakiegoś tonu nie jest już ćwiczeniem chętnem i przyjemnem mięśni odpowiednich, ale rzemiosłem gardłanem. Rozumie się, ponieważ nie idzie tutaj o zadowolenie z wyładowania energii życiowej, lecz o wyciągnięcie pieniędzy z cudzej kieszeni, używa się najrozmaitszych, podejrzanej wartości fortelów. To samo widzimy też we wszystkich innych dziedzinach życia duchowego. Nie chcemy wszakże twierdzić, aby tak było w każdym pojedynczym przypadku. Atoli taka jest *dążność* epoki, kiedy fetyszyzm pieniężno-towarowy stał się powszechnem wyznaniem wiary.

Otóż nastręcza się teraz pytanie, co w takiem otoczeniu dzieje się z ludźmi, którzy posiadają namiętność i zdolności do ćwiczenia sił swoich duchowych publicznie, wreszcie z samą nauką i utworami sztuki? Że kankan Interesu wykrzywi ich i zohydzi, nie może być najmniejszej wątpliwości. Lecz tragizm położenia dla natur artystycznych tem się nie wyczerpuje. Dzisiejsza epoka dziejowa nietylko wysunęła produkcyę na sprzedaż na plan pierwszy i od wartości spożywczej przedmiotu wydzieliła zamienną, którą upostaciowała w bycie samodzielnym: pieniądzu, nietylko uczyniła z istoty tego pieniądza niezgłębioną dla filistrów tajemnicę i podniosła do poziomu wszechpoważanego fetysza. Poszła ona jeszcze krok dalej. Cała tegoczesna produkcya odbywa się mianowicie na podkładzie szczególnych metod technicznych. Człowiek wytwarza potrzebne mu przedmioty za pomocą nader złożonych a wymagających olbrzymiego wkładu pieniężnego narzędzi. Średniowieczny rzemieślnik, który jednoczył w sobie działalność wytwórczą robotnika z posiadaniem warsztatu swojej pracy, zanika z dniem każdym, unoszony prądem rozwoju ekonomicznego. A nietylko produkcya dóbr materyalnych, lecz również poszukiwania naukowe i twórczość lub praca artystyczna przedstawiają tę samą dążność i pod wpływem postępu technicznego przybierają formy nowo, dawniej nieznane, a zamierzone na szeroką skalę. Lirnik wioskowy umierał z narzędziem swojej sławy pod głową i prosił dobrych ludzi, aby wraz z nim w grobie pochowano jego śpiewną czarodziejską lirę. Szlachcic Rębajło woła, że umrze teraz spokojnie, kiedy znalazł kogoś, kto mógł wywijać jego „scyzorykiem," a Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* na tym przykładzie scharakteryzował jedynie ogólne uczucie rzemieślnika wojennego do oręża walki. Wielka produkcya targa i niszczy to naiwno-rzewne przywiązanie człowieka do narzędzi. O ile rozsiadła się w zakresie pracy umysłowej i artystycznej, uczyniła to samo. Lira nowoczesna, upostaciowana w akcesoryach koncertowych, została oddzielona od artysty, pracownie i biblioteki od uczonego. Wraz z tem znika węzeł uczuciowy, który spajał lirnika z lirą. Nadto narzędzia pracy artystycznej należą zwykle do kogoś innego, co znowu pociąga za sobą dalsze skutki. Człowiek z utalentowanym mózgiem i wyjątkowem gardłem wkracza najczęściej w ten padół kankana kapitalistycznego, jako najczystszej krwi hołysz. Przyroda nie zna kastowości, uzdolnienia rozsypuje wszędzie i wyprowadza talenty nie z roli i nie z kapitału, lecz z ludzi bez ojców — z kurzu przydrożnego, rzekłby poeta. Przedstawiciel utalentowanej hołoty wchodzi w świat jedynie ze swojemi zdolnościami. Widzi tutaj, że narzędzia, potrzebne do publicznego ćwiczenia jego sił duchowych i do zarobkowania, zostały przywłaszczone przez szczególnego ssaka, dwunożnego jedynie z pozoru, a ochrzczonego nazwą kapitalisty-przedsiębiorcy. Utalentowana dusza z jej potrzebami mało obchodzi tego możnowładcę tegoczesnego, podobnie jak wszelkie próby przeniknięcia tajemnic bytu. Nie teorya atomistyczna, lecz recepty wyrabiania farb anilinowych stanowią dlań o wartości postępów w chemii; równie obojętną dla przedsiębiorcy jest rzeczą ów świat uczuć i myśli, jaki drga w piersiach i mózgach artystycznych. Kapitalista w utalentowanym hołyszu widzi jedynie nowego rodzaju maszynę, odznaczającą się tem, że nietylko powraca wyłożone koszty lecz nadto przynosi zyski. Ustawia więc [illegible]ywą maszynę w rzędzie z innemi: akcesoryami opery lub koncertu, nakręca ją na pewną aryę, każe jej grać, śpiewać, improwizować, wreszcie oddaje część dochodu jako środek do [illegible]kupienia różnych smarowideł, które są niezbędne do utrzymania jej w stanie należytym, resztę zaś chowa do swojej sakwy. Artysta lub twórca płodów umysłowych przestaje być człowiekiem wolnym i zamienia się na pachołka u kapitalisty. Jeszcze przed laty 10—15 chodzono u nas z niedźwiedziami. Niedźwiedź, uwiązany na łańcuchu, wyprawiał najrozmaitsze sztuki: pokazywał, jak baby kradną groch, a starcy zalecają się do dziewcząt. Stosunek istniejący pomiędzy jakąś Patti a obwożącym ją przedsiębiorcą jest najzupełniej tej samej natury. Nie, cofam te słowa, gdyż zaszedłem w powyższem porównaniu za zbyt daleko. Istnieje bowiem pewna różnica, ale na korzyść niedźwiedzia. Jest on własnością swojego pana, który go kupił za gotówkę i chciałby, aby zdrowie zwierzęcia było jak najlepsze, a żywot trwał jak najdłużej. Przedsiębiorca-kapitalista nie zna podobnych względów. Zdolności utalentowanego chudopachołka wynajmowane są na miesiące lub na występy. Niech potem utraci on wszystkie swoje zdolności, cóż to obchodzi przedsiębiorcę, byleby tylko najemnik artystyczny wywiązał się z zawartej umowy. Co więcej, interes kapitalisty każe mu nieraz nadmiernie podniecać wrażliwość najemnika i wyjaławiać go z uzdolnień w jaknajkrótszym czasie, później zaś jako cytrynę wyciśniętą odrzucić...

Chcielibyśmy właśnie zanalizować wpływy tych rozmaitych stosunków ekonomicznych na twórczość artystyczną i naukową.

K. R. Żywicki.

RZUT OKA NA KRAJE BAŁKAŃSKIE

I ZNACZENIE CIEŚNIN.

II.

Z powyższego widzimy, że główną charakterystyczną cechą, odróżniającą półwysep Bałkański od dwóch pozostałych jest *wielostronność stosunków*; utrzymuje on je bowiem z Europą środkową, wschodnią, Azyą Mniejszą, Włochami dolnemi, Syryą, Egiptem i całym obszarem morza Śródziemnego. Ta wielostronność stosunków, przypominająca Niemcy i odbijająca się w klimacie, świecie roślinnym, w objawach etnograficznych i politycznych, polega głównie na położeniu półwyspa i plastyce jego powierzchni, która ze swej strony warunkuje rozwój linii brzegowej. Plastyka powierzchni półwyspu Bałkańskiego jest bogatsza, bardziej urozmaicona niż dwóch pozostałych; charakterystykę jej stanowią bardzo liczne kotlinowate zagłębienia ułożone na kształt szachownicy; są to dawne kotliny jeziorne, z których rzeki torują sobie wyjścia wąskiemi, po większej części bezdrożnemi wąwozami; okoliczność, ta utrudniając komunikacyę między oddzielnemi kotlinami, wywołuje separatyzm polityczny. Wązka zachodnia część półwyspu, która nie dosięga nawet do przerzynającej cały półwysep głębokiej bruzdy Morawa-Wardar czyli Belgrad-Saloniki, należy do iliryjsko greckiego systematu sfałdowań, gdzie od zwężającej się w okolicach Fjume wyżyny Karstu aż do przylądka Matapan ukształtowanie powierzchni warunkują liczne równoległe fałdy, ciągnące się w ogóle na południo-wschód lub na południo-południo-wschód. Równolegle też do fałd ciągną się tam podłużne zapadnięcia, które tworzą prostolinijne zamknięte, strome wybrzeża; tylko w Grecyi wybrzeża te zostały lokalnie otworzone przez zapadnięcie poprzeczne (zatoka Koryncka). Z tego powodu rzeki strony zachodniej mają mniej więcej południkowy kierunek i stosunki z Adryatykiem są utrudnione przez liczne równoległe łańcuchy górskie. Serbia i Bośnia, choć tak bliskie Adryatyku, nigdy nie miały z nim i z Italią ściślejszych stosunków, lecz raczej z Węgrami. Za to wązki pas nadbrzeżny Dalmacyi wraz ze swym światem wyspowym jest tem ściślej związany z Adryatykiem i z Włochami: podległ on wcześnie politycznej władzy Rzymu i Wenecyi, a nigdy nie należał do ludów przybyłych od wschodu. Wielka część zachodniego kraju fałdowego, sięgająca na zachód po części do samego morza, a na po-

łudnie do Grecyi, stanowi obszar zamknięty, bezdrożny, obszar małej zmienności, *obszar stagnacyi.* Tem większe znaczenie dla półwyspu ma owa głęboka bruzda przerzynająca go z północy na południe, przedłużająca tym sposobem południkowy bieg Dunaju i łącząca go z Archipelagiem; w bruździe tej na północ działu wodnego między Wardarem i Morawą, na zbiegu dróg leży słynna w pieśniach i podaniach serbskich równina Kosowego Pola, na której w krwawych zapasach rozstrzygały się losy Bałkańskiego półwyspu: tutaj w 1389 sułtan Murad złamał potęgę Serbii, tutaj w 1448 mężny Jan Hunyad musiał uledz nawale tureckiej; tutaj staczano walki gdy w 300 lat po upadku Serbii wojska austryackie sięgnęły aż do Macedonii. Tutaj też prawdopodobnie stoczony zostanie w niedalekiej przyszłości bój, który rozstrzygnie czy turcy zachowają trwale swe zachodnie prowincye, czy też je utracą na zawsze. Obecnie wzdłuż tej bruzdy biegnie już ważna dla światowego handlu droga żelazna, która od Saloniki prowadzi dalej jako droga wodna do Smyrny, Egiptu i kanału Sueskiego.

Już w części po zachodniej stronie tej szerokiej południkowej bruzdy, ale głównie po stronie wschodniej występują zupełnie inne formy powierzchni niż w nadbrzeżnej krainie Adryatyku i morza Jońskiego. Tutaj stara z pierwotnych krystalicznych skał złożona płyta została pokrajana przez system pęknięć, a wskutek ruchów pionowych powstały równoleżnikowe łańcuchy górskie jak Bałkan, oraz kotliny pokryte młodemi osadami jak np. Tracka; na ich wyniosłych krawędziach utrzymały się jeszcze szczątki starej płyty, tworząc wyżyny jak Bulgarska lub potężne góry masowe jak Rodopskie. Z tego powodu tutaj występują krainy otwarte, kotliny o dnie równem i większe rzeki; tutaj dostępność od strony morza i komunikacyjność wewnętrzna są największe. Linie zapadnięć wyznaczyły tu tyle ważne dla losów półwyspu bróździe: południkową i przekątną (południowo-wschodnią), które warunkują główny kierunek komunikacyi ku południo-wschodowi na Bosfor i Archipelag. Ta druga linia Belgrad-Konstantynopol, wzdłuż której obecnie idzie też kolej żelazna, odgałęzia się od pierwszej (Belgrad-Saloniki) na równinie Niszu, biegnie wzdłuż Niszawy do kotliny Sofii i stąd dosięga dorzecza Marycy. Na tej naturalnej, przez rzymian ulepszonej drodze odbywały się od najdawniejszych czasów stosunki między Europą środkową i wschodem. Wzdłuż niej posuwały się wojska rzymskie, bizantyjskie i tureckie ku północno-zachodowi, krzyżowcy i wojska austryackie — ku południowschodowi; wzdłuż niej obecnie dzięki kolejom żelaznym przenikają do wnętrza półwyspu europejskie wyroby i europejska kultura; wzdłuż niej leżą najważniejsze pod względem historycznym miejscowości. Jeszcze w 16 stuleciu komunikacye odbywały się tu na rzymskim bruku naprawionym tylko przez turków. Jak rzymianie starali się zabezpieczyć tę drogę przez obwarowanie i kolonie wysłużonych żołnierzy tak również i turcy, dla których droga ta jest obecnie drogą odwrotu do Azyi. Dzięki tej drodze półwysep Bałkański stał się krajem przejściowym (Durchzugsland) tym bardziej, że droga ta znajduje naturalne przedłużenie w tak samo skierowanych drogach Węgier i Azyi Mniejszej. Przytem dodać należy, że ta stara płyta w zależności od popękań i zapadnięć została pokryta przez materye wulkaniczne, skąd otrzymała bardziej urozmaiconą plastykę i bardziej urozmaiconą, żyźniejszą naturę gruntu. Liczne źródła gorące lecznicze też występują prawie wyłącznie tylko w tej pokruszonej starej płycie. Tak więc ta wschodnia większa część półwyspu ma wyższość nad zachodnią: jest bardziej urozmaicona co do powierzchni, linii brzegowej, natury gruntu, żywności, skarbów mineralnych; jest dostępniejszą, bogatszą w stosunki. Totéż i w historyi wskutek łatwych stosunków z Azyą Mniejszą i Archipelagiem część ta grała pierwszorzędną rolę, podczas gdy zamknięta uboższa część zachodnia pozostawała zawsze w tyle i nie wytworzyła nigdy samodzielnego wielkiego organizmu państwowego.

Skutkiem górzystego charakteru, jednak bez wiecznych śniegów, oraz rozpadnięcia się kraju na drobne odosobnione kotliny jest brak wielkich systematów rzecznych oraz brak krainy centralnej, któraby przewagą swego obszaru mogła tworzyć polityczny środek ciężkości. W miejscu gdzie kraina taka leżyćby powinna, wznoszą się surowe niedostępne góry, uniemożliwiające tak zgęszczenie się ludności, jakoteż stosunki z odległemi krainami nadbrzeżnemi. Kotlina Sofii, będąca jedyną otwartą krainą tego wewnętrzego obszaru, jest zbyt drobna i nadto otoczona górami, odosobniona szczególnie od zachodu, południo-zachodu i południa. Większa kotlina Marycy ze swym wybornie położonym punktem centralnym, Adryanopolem, z otwartą komunikacyą ku morzu Czarnemu i Archipelagowi oraz ku Azyi Mniejszej jest mimo to za mała i zbyt ekscentrycznie położona, aby trwale zapanować nad oddalonemi i odosobnionemi krainami Grecyi, Albanii lub Bośni. Jeszcze w większej mierze odnosi się to do niziny Wołoskiej, tak iż niektórzy nie zaliczają jej nawet do półwyspu. Tak więc półwysep Bałkański rozpada się na liczne naturalne krainy, które jakkolwiek połączone w jedną całość morzem i północną linią rzeczną Sawa—Dunaj, jednak między sobą są bardzo luźnie powiązane. Prócz kotliny Marycy (Tracyi) mamy tu do wyszczególnienia: płytę Bulgarską z Dobrudżą, która to ostatnie tworzy w pewnym względzie nawet oddzielną krainę, Macedonię, Grecyę (z Epirem i Tessalią), Albanię, Serbię, Bośnię, Czarnogórę, Hercogowinę i Dalmacyę, a względnie i dolinę dolnego Dunaju, czyli Wołoszczyznę. Te liczne krainy przedstawiają większe różnice między sobą, aniżeli krainy bogatych w kontrasty Niemiec. Geograficzne więc warunki skazały cały półwysep Bałkański na to, aby nigdy nie tworzył sam w sobie jedności politycznej i rzeczywiście nie tworzył on jej nigdy z wyjątkiem czasów rzymskich, ale i wtedy nie była to jedność sama w sobie, lecz tylko jedno ogniwo wielkiego państwa rzymskiego.

Wielostronność stosunków, liczne w odniesieniu do Iberyi i Italii „bramy" sprowadziły tu zewsząd liczne ludy: z północo-wschodu bulgarów, z północo-zachodu serbów, z południo-wschodu turków — wszystko to są póżniejsi przybysze, podczas gdy na południu i zachodzie zdawna osiedlili się grecy i albańczyy. Ukształtowanie powierzchni nie dozwoliło żadnemu z tych narodów opanować całego półwyspu i pochłonąć inne, a tem samem zapewniało każdemu utrzymanie swej odrębności etnograficznej; godną uwagi jest rzeczą, że Dalmacya pozostała nawet wtedy niepodległą, gdy całe prawie Węgry zostały podbite przez turków. Widzimy więc, że rozmaitość stosunków i plastyki powierzchni uwarunkowała też i *etnograficzną rozmaitość*, którą potęgują jeszcze stosunki religijne. Nigdy ne półwyspie tym nie zapanował jeden język, nawet za czasów rzymskich było tu przynajmniej trzy języki: grecki, łaciński, albański, a każde miasto półwyspu przedstawia obraz tej rozmaitości etnograficznej, językowej i religijnej.

Tego niekorzystnego wpływu plastyki powierzchni nie zdołało zatrzeć istnienie na półwyspie punktu z wybornem, jedynem prawie położeniem geograficznem, mianowicie Konstantynopola. Albowiem Konstantynopol nie jest naturalnem ogniskiem jedynie półwyspu Bałkańskiego, lecz znacznie większego obszaru, którego półwysep Bałkański jest tylko jedną częścią, podczas gdy Azya Mniejsza stanowi część drugą. Dla tego nadzwyczaj ważnego ogniska potęgi politycznej krainy na zachodniej stronie półwyspu były zbyt zewnętrznemi, zbyt oddalonemi, trudno dostępnemi, toteż turcy najpóźniej je opanowali i najwcześniej utracili. Dalmacya, Czarnogóra nie były nigdy tureckiemi. Grecya została podbita tylko wskutek rozwoju potęgi morskiej Turcyi i to, zauważmy, później, aniżeli krainy na północo-zachodzie, a nawet obszary po za Dunajem. Z upadkiem potęgi morskiej Turcya utraciła Grecyę, a równocześnie i Serbię, a jeżeli Bośnia pozostała przy Turcyi dłużej, to tylko dlatego, że wyższe klasy ludności przyjęły tam religię mahometańską. Wielostronność stosunków półwyspu wyraża się między innemi i tem, że wszystkie zamieszkujące go narody posiadają większą lub mniejszą część swych współbraci po za granicami jego i wskutek tego półwysep ulega wpływom politycznym z zewnątrz. Tej rozmaitości etnograficznej odpowiada rozmaitość dzisiejszej *państwowej organizacyi* półwyspu, która jest stanem przyrodzonym naruszanym tylko niekiedy przez wielkie potęgi zewnętrze jak rzymska lub turecka. Na północo-wschodzie widzimy tu niepodległą Rumunię, do której przyłączono niedawno Dubrudżę. Na północo-zachodzie do dawno już austryackiej Dalmacyi i Kroacyi weszła też Hercogowina i Bośnia faktycznie w posiadanie Austryi, jakkolwiek nominalnie są one niby jeszcze tureckiemi. Niepodległemi są też Grecya i Serbia wyswobodzone z pod władzy turków i Czarnogóra, która nigdy się przed nimi nie ugięła. Tutaj należy też tylko nominalnie zależne od Turcyi księstwo Bulgarskie, z którą obecnie tak zwana autonomiczna prowincya Wschodnia Rumelia jest ściśle złączona. Tym sposobem Turkom pozostało na półwyspie już nie wiele, a i w tej pozostałej części władza ich czasami jest bardzo słaba (Albania). Tak więc półwysep przedstawia wielkie rozproszenie polityczne z narodowościowemi i religijnemi antagonizmami i nie prędko z tego chaosu wyłoni się jakiś stalszy system jednolitych państw narodowych. (D. n.).

W. N.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z KAUKAZU.

II.

Władykaukaz-Kazbek.

Władykaukaz ma oblicze miasta powiatowego. Domy przedewszystkiem są jednopiętrowe, nietynkowane i wcale nieczyste. Jedyna ulica, tak zwana Bulwarna, ma kilkanaście budynków okazalszych, a są to hotele lub gmachy rządowe. Ludność jest nadzwyczaj różnorodna. Krom elementu państwowego najliczniejsi są armianie, potem osetyni, żydzi, grecy, persowie itd.

Znaczniejsze sklepy handlują towarami moskiewskimi i perskimi; zresztą widziałem taki szyld: „Warszawskie modne kapelusze — Kohana," co znaczy, że p. Kohan jest prawodawcą mody dla dam Władykaukazu. W podrzędniejszych zaułkach są sklepiki w guście azyatyckim: w nich sprzedają się barwne tanie tkaniny, safiany, garnki, szare i pstre sukmany itp.

Rynek zrana roi się od tłumu kupujących i sprzedających. Głównym produktem jest ogrodowizna: pomidory, melony, kawony, winogrona i kabaczki (pewien rodzaj dyń) — wszystko to leży stosami. Widziałem nadto pszenicę, kukurydzę i kartofle. Wozy, naładowane tymi produktami,

są to dwukołowe arby, zaprzężone parą wołów. O smarowanie osi nikt się nie troszczy, przeto na drogach wiodących do miasta rozlega się muzyka, zdolna artystę żywego zabić, a umarłego z grobu podnieść.

Droga Wojskowo-Gruzińska, zepsuta przez Terek, o tyle jest naprawiona, że dwie stacye od Władykaukazu (29 wiorst) można przebyć w powozie i trzecią od Łarsu do Kazbeku (15 wiorst) — konno lub piechotą. Dalej zaś, gdzie ona opuszcza łożysko gniewnej rzeki, przecina Czarną — dopływ Kury — wbiega na najwyższy punkt (9,000 stóp) i dalej do Tyflisu jechać można bezpiecznie.

Postanowiłem obejrzeć zniszczenie pracy ludzkiej i przedsięwzięte środki ku naprawie gościńca.

— Weź pan konia mojego — woła gruzin — ostrożny jest jak starzec, posłuszny jak dziecię, a zwinny jak sarna; kupiłem go u osetyna, górala.

Nająłem stworzenie, mające tak wiele zalet.

Zaledwie ujechałem kilka staj, droga znikła, koń wbiegł na ścieżkę. Tu ujrzałem masy robotników, żłobiących górę, dla utworzenia nowej drogi i usłyszałem głos dozorcy.

— Radziłbym zejść z konia, trochę niebezpiecznie.

Spojrzałem przed siebie, nie widząc jednak niebezpieczeństwa, jadę dalej; prawda, nieprzyjemnie jest, gdy z jednej strony miota się u twych stóp Terek, z drugiej nawisły masy skał, lecz tam, gdzie się roją tłumy ludu, można i jechać. Wtem ścieżka kończy się. Terek trójkątem objął bok góry: kipi, szaleje. Nad owym kotłem wrącym rzucono dwie belki i nasłano desek... Niema rady! Zszedłem z siodła i ruszyłem naprzód. Koń idąc za mną, zanim stąpił na pomost, uderzył po desce dwakroć kopytem, a przekonawszy się, że niezbyt drga, ruszył ostrożnie. Zatrzymałem się nad urwiskiem i patrzyłem na szalejącą wodę; koń posunął się, stanął tuż przy mnie, wyciągnął szyję i również patrzył ze zdziwieniem... Ruszyliśmy dalej.

Naprawa gościńca ma dwojaki charakter. Tam, gdzie Terek, wracając do dawnego łożyska, opuścił zrujnowaną drogę, robotnicy usypują kamienny wał, częstokroć kilka sążni wysoki; gdzie zaś prąd uderza o skały gwałtownie, ludzie, ustępując mu, wrzynają się do ciał gór. Pierwsza praca jest żmudną i uciążliwą, druga nadto przykra dla wzroku. Oto nad głową przechodnia w szczelinach skał, wiercąc otwory dla nabojów prochu, górnicy uderzają młotami; zdaje się, jeszcze jedno uderzenie i pewna bryła popękana, okopcona od wczorajszych wybuchów — runie, tem bardziej, że u jej spodu ze szpar sączy się woda. Instynktowo przymuszasz konia, aby co prędzej przebiegł to miejsce.

Po dwu wiorstach drogi koń wskoczył na ocalały jakimś cudem Darjalski most żelazny... Terek, gdy mu nie starczyło przestrzeni pod mostem, wyrwał część stałego brzegu i hulał, ile chciał. Dziś, aby połączyć most z nowym brzegiem, nasypano w poprzek łożyska wał kamienny, po nim dostaliśmy się na prawy brzeg. Od tego miejsca do mostu Gułackiego 7 wiorst, poczem droga znów powraca na lewy brzeg rzeki, gdzie zupełnie uniknęła spustoszenia; atoli korzystać z niej jest rzeczą niemożebną, gdyż z mostu Gułackiego nie pozostało ani śladu. Widziałem zresztą jedną belkę żelazną, zmiętą jak gałgan i wyrzuconą na mieliznę kamienistą.

Zanim most będzie odbudowany, postanowiono aż do Kazbeku, tj. i ostatnie 6 wiorst, zbudować drogę czasową na prawym brzegu rzeki, a jest to przedsięwzięcie niemałe. Dotąd zrobiono ścieżynę, po której trzeba jechać bardzo oględnie i nie na byle koniu. Zresztą w niektórych miejscach podróżny, dbający o swą głowę, musi przechodzić pieszo.

Około Gułackiej skały i mostu cieśnina Darjalska jest bezwątpienia najbardziej uroczą. Wyobraźcie sobie dwie prostopadłe, niebotyczne masy gór, a między niemi wązkie, ciasne łożysko. Do owego koryta wpadło przed laty kilka odłamów skał, z których Terek jest bardzo niezadowolony, naciera bowiem na nie z wściekłością, miota się od jednej do drugiej, stara się zrzucić je pianą, zgrzyta — aż się łoskot rozlega i drży powietrze. Jechać tu po ścieżynie, przylepionej do urwiska niby gniazdo jaskółcze, mając nad sobą i pod sobą urwiska, jest przyjemnie, lecz strasznie. Po przebyciu owego miejsca, gdy się widnokrąg trochę rozszerza, człowiek i koń czują, że są rzeźwiejsi, silniejsi. Wtem po 3—4 wiorstach ścieżka znika, zostaje jeno parów głęboki i zdaje się wyżłobiony w gruncie miękim, czarnym, zaledwie wczoraj. Co to znaczy? Ruszam w górę, szukając ścieżki, gdy osetyni, znajdujący się na przeciwległym brzegu, zaczęli mi dawać znaki, ażebym wrócił. Powracam, rozglądam się, widzę ślady kopyt, a wreszcie i krętą, snującą się po spadzistości parowu ścieżynę. Wjeżdżam, przebywam strumyk i dostaję się na drugi brzeg; jeszcze kilka kroków po nad urwiskiem parowu... nagle grunt usuwa się, tył konia zapada. Nie zrozumiałem jeszcze, co się stało, gdy koń zgiął się, przypadł jak kot do ziemi i wypełzł nad urwisko. Nim osetyni podbiegli ku nam, byliśmy w bezpiecznem miejscu.

— Jakże można! — zawołał pierwszy z brzegu. Tutaj będziemy jeszcze umocowywać chrustem, tu trzeba iść piechotą — patrzcie!..

Spojrzałem, cały brzeg parowu popękany, oddalić jednak ścieżki nie można, gdyż o półtora łokcia od urwiska sterczą bryły kamienne.

— Jak się ten strumień nazywa?

— *Wściekły parów* (Bieszenaja bałka) — rzekł osetyn, siadając na ziemi i biorąc placek do ręki.

Po kwadransie byłem u p. Kazbeka.

Trzeba wiedzieć, że się tak nazywa gospodarz hotelu, wzniesionego tu u stóp góry prawie przed stu laty. Z czasem i samą górę nazwano jego imieniem.

Gospodarze zaproponowali mi kupić broszurę inżeniera Statkowskiego, opisującą lodowiec Deudoracki. Z owej książeczki, a także z opowiadań mieszkańców tutejszych dowiedziałem się, że dawniej dolna część lodowca peryodycznie odrywała się od głównej masy, spełzała do Tereku i czyniła ogromne spustoszenia; atoli od r. 1832 podobnych zawałów nie było. Po zbadaniu łożyska strumienia, wypływającego z lodowca, okazało się, że lód w pewnych odstępach czasu (około 14 lat) zawsze kruszy się, lecz pada na pochyłość nieznaczną i zatrzymuje się na niej wdali od Tereka. Przytem mogą się zdarzyć dwa wypadki: Albo lód wpada do koryta strumienia tak, że staje się tamą; natenczas, jak w 1832 r., potok, nie mając ujścia, tworzy po za groblą jezioro i gdy ciężar wody przezwycięży siłę tarcia lodu o grunt, lód posuwa się, mknie i pada aż do stóp góry, do Tereku; wtedy dzieją się straszne rzeczy. W przeciwnym razie, tj. jeżeli lód nie zatamuje ujścia strumienia, sam po trosze stopnieje i żadnych dziwów nie wytworzy. Otóż istnieje przekonanie, że i w tym roku, a może w przeszłym, lód upadł do łożyska i zatrzymał odpływ wody! Dnia 12 sierpnia burza, jakiej tu nie widziano od dawna, o północy zaczęła szaleć z taką siłą, że u stóp Kazbeku oczekiwano końca świata: góry drżały, odłamy kamieni toczyły się na dolinę. Prawdopodobnie przy wstrząśnieniach woda potrafiła wyżłobić sobie kanał w lodzie i nagle rzuciła się, łamiąc wszystko po drodze — tamy, mosty, skały.

Bez wątpienia i ulewa przyczyniła się do powiększenia masy wody; mieszkańcy tutejsi twierdzą jednak, że deszcze prawie nie podnoszą poziomu Tereku i spustoszenia nie czynią, że winien jest lodowiec.

W kilku dni po pierwszym wybuchu wody zdarzył się drugi, który dokończył ruiny.

Jeżeli po paru miesiącach dowiecie się, że drogę zupełnie wznowiono, będzie to oznaczało, że z pewnem bezpieczeństwem można przebyć góry, lecz doprowadzenie gościńca do stanu, jaki był przed ruiną, zajmie przy najlepszych chęciach przynajmniej rok cały, chociażby z tego powodu, że Gałacki most żelazny nie da się zbudować w krótkim czasie, a na prawym brzegu rzeki niepodobna urządzić stałej drogi; most na *Wściekłym parowie* będzie tylko czasowym; pierwsza ulewa zniesie go, jak zwykle. Grunt tu mięki, a strumień podczas deszczów, wzbierając, napełnia parów aż po brzegi i mknąc z gór na dół, rwie tamy, jak bąk pajęczynę.

Po kilku godzinach, gdy wracałem na stacyę Łars, koń biegł lekko, jak gdyby przebył nie 30 wiorst, lecz trzy. Wręczając rumaka gospodarzowi, zrozumiałem, dlaczego górale oddają niekiedy całe swoje mienie za dobrego konia.

Godne są uwagi pamiątki tutejsze, pozostałe po dawnych czasach. Na zboczu Kazbeka o kilka tysięcy stóp od podnóża wznosi się klasztor, zaś na 10 tysiącach stóp znaleziono w pieczarze krzyż kamienny i inne przedmioty, dające prawo wnioskować, że się tu ukrywali niegdyś chrześcianie. Miejscowe podanie głosi, że istnieje grota, w której są zakopane niezmierne bogactwa kościelne.

Dalej od Kazbeka do Władykaukazu, tj. na przestrzeni 44 wiorst tu i owdzie na urwiskach wznoszą się stare baszty; na jednej z nich widziałem ozdoby, mające kształt krzyża. Być może wszystkie te budowy wznosili gruzini za czasów swego rozkwitu, tj. za panowania księżniczki Tamary i jej poprzedników. Do dzisiaj ludność gruzińska sięga do wrót Darjalskich, prawie do stacyi Łars, zaś między Łarsem i Bałtą, 20 wiorst od Władykaukazu, styka się granica posiadłości czeczeńskich i osetyńskich. Na prawym brzegu rzeki, na jednym z pagórków czai się *areł* czeczeński, zaś na lewym brzegu na pochyłości umieścił się osetyński. Bezwątpienia kiedyś niemało tu było zatargów. Otóż dla pogodzenia zwaśnionych, w dolinie, między wrogimi azułami wzniesiono małeczką twierdzę, w której dotąd trzymają straż kozacy.

N. B.

LIBERUM VETO.

Głód i miłość. — Stosunek żołądków do serc. — Zdolność i potrzeba. — Jakie siły rządzą światem. — Ukazujące się widmo głodu. — Skąd ono u nas powstało i czem grozi. — Prawdopodobieństwo wzrostu niemoralności, a zwłaszcza kradzieży. — Rozboje i rabunki. — Konieczność wzmocnienia straży bezpieczeństwa po wsiach. — Przeciw drożyznie. — Jubileusz kolei Terespolskiej. — Jej obowiązek. — M. Twain i nasi literaci.

Dawno już powiedziano, że światem rządzą — miłość i głód. Pierwsza zbyt często przekonywa nas o tem w poezyi, a nawet czasami w życiu, ażebyśmy wątpić mogli. Natomiast głód, który zaspokaja się daleko łatwiej, a odzywa się głośno daleko rzadziej, nie przypomina tak nam swojego władztwa. Ale skoro przemówi, wszyscy go pojmują. Gdyby ci, czytelniku, syn doniósł, że kocha się bez wzajemności — może byś się zmartwił, a może uśmiechnął; gdyby zaś cię uwiadomił, że nie ma co jeść, ogarnęłaby cię rozpacz. Nie znaczy to wcale, ażeby cierpienia żołądka były dokuczliwsze i cięższe, niż cierpienia serca. Przeciwnie, ostatnie należą do najokropniejszych katuszy, jakie natura obmyśliła dla człowieka.

ale pierwsze są powszechniejsze i bardziej zrozumiałe. Więcej ludzie mają żołądków, niż serc, albo też — wyrażając się bez błędu anatomicznego — więcej ludzi umie jeść, niż kochać. Jedzenie bowiem jest u wszystkich ludzi potrzebą, miłość u niektórych zdolnością. To też jeżeli wam ktoś rzeknie, że jest głodny, odrazu wiecie, czego mu brak; ale jeżeli oświadczy, że kocha, nie wyrazi przez to nic, jak gdyby powiedział, że pracuje, pisze lub śpiewa. Pomiędzy pracą w fabryce i w laboratoryum naukowem, pomiędzy pisaniem kartek meldunkowych i poezyj, pomiędzy śpiewem krzykliwym i artystycznym, zachodzą akurat tak wielkie różnice, jak między rozmaitemi odmianami miłości. Kocha chłop żonę, którą ciągle obija, kocha Otello Desdemonę i Abelard Heloizę, kocha samolub, gbur, niedołęga, wielbiciel, a każdy co innego ofiaruje i czego innego wymaga. Pojmując więc miłość w tem idealnem znaczeniu, w jakiem ją przedstawiają poeci, słusznie rzec można, iż ona jest raczej rzadkim artyzmem duszy, niż zwykłą i każdemu wrodzoną funkcyą natury ludzkiej. Kochanków tego rodzaju nie liczy świat więcej, niż znakomitych rzeźbiarzów, uczonych i wynalazców. Są to bowiem osobniki wyjątkowo uzdolnione, bardzo nieliczne, a jeżeli ktoś, pozbawiony tej zdolności, mniema, że gdyby tylko chciał, mógłby kochać, to ludzi się podobnie, jak mniemający, że gdyby tylko chciał, mógłby malować. Albo więc we wzmiankowanej regule trzeba wyraz: miłość — zastąpić innym, mniej idealnym, albo za rządcę świata uznać jedynie głód.

Dziś łatwiej można to uczynić, niż kiedykolwiek. Miłość bowiem między ludźmi zasłoniła swoją twarz piękną, a głód odkrył swoje oblicze szpetne. Widzimy go obecnie na kilku punktach ziemi, jak z sinych warg wyszczerza zęby. Dojrzano go już i u nas, więc należy zastanowić się, czem grozi nam ten srogi władca. Nie można twierdzić, ażeby kraj nasz dotknięty był w roku bieżącym klęską nieurodzaju. Owszem, zebraliśmy plony dobre, średnie lub niezłe. Z wyjątkiem kartofli inne produkty gospodarcze wystarczyłyby najzupełniej potrzebom miejscowym ze znaczną jeszcze przewyżką dla wywozu. Ale, niestety, naokoło otworzyły się otchłanie braków, które w części zapełnią się naszymi zasobami. Niemcy mają liche zbiory, Cesarstwo w 20 guberniach—zupełny nieurodzaj. Te dwa szerokie i głębokie ujścia podniosły cenę zboża do nadmiernej wysokości. Chociaż — jak wykazaliśmy dawniej— z prasy naszej w żaden sposób wywnioskować niepodobna, czy ona dziękuje niebu za zboże drogie, czy za tanie, w każdym razie bardzo wygórowane ceny nawet przy średnim urodzaju powinnyby dać korzyść przynajmniej rolnikom. Rzeczywistość jednak okrawa te zyski znacznie i sprowadza je do bardzo szczupłego koła szczęśliwców. Zwyczajny nasz gospodarz na średniej własności albo tonie w kieszeniach lichwiarzów i sprzedał im lub ich sojusznikom zboże przed zamknięciem granicy po cenach nizkich, albo podczas kilkunastodniowej gorączki wywozu wyzbył się ziarna w nadziei, że je potem taniej na swoje potrzeby odkupi. Tymczasem nadzieja ta go zawiodła, gdyż ceny nie spadły, a nawet posunęły się w górę. Nadto niejeden tak zaryzykował się w spekulacyi, że musi nabywać to droższe zboże nietylko dla swego gospodarstwa, ale także dla handlarza, który mu dał zaliczkę i kontraktem zastrzegł sobie jesienną lub zimową odstawę. Ponieważ pieniądze przez podziurawioną ratami i długami kieszeń szlachcica przelatują szybko jak woda przez durszlak, więc w niej nic nie pozostało, a raczej pozostała bieda. W podobnem położeniu znajdują się włościanie. Wielu z nich, sądząc, że zwyżka cen jest tylko chwilowa, wywołana zakazem wywozu, młóciło na gwałt i sprzedawało skromne zapasy, a teraz muszą je odkupić. A zatem rolnicy nie zrobili świetnych interesów, a całe społeczeństwo ma niebywałą drożyznę. Chleb staje się coraz mniej dostępny dla biedaków, a za chlebem pójdzie wszystko w tym samym kierunku. Niewątpliwie tedy podczas zimy objawi się w szerokich kręgach niedostatek, brak zarobków skutkiem ogólnego zubożenia i częściowy głód. Ile razy stosunki ekonomiczne zamącą się głęboko, zawsze garść spekulantów nałowi w nich ryb dla siebie. I teraz więc z pewnością, gdy jedni pokręcili karki na błędnych rachubach i obrotach w handlu zbożowym, inni na trafnych zrobili majątki; ci jednak ogólnej biedy nie poprawią i nie złagodzą.

Obok bezpośrednich jej skutków, należy przewidywać pośrednie. Nikt chyba nie zaprzeczy, że moralność pozostaje w bardzo ścisłym związku z dobrobytem. Jeżeli chodzi o 7 przykazanie dekalogu, ogół nasz nosi w sobie bardzo dużo zgnilizny. Nie wykazuje jej nawet ściśle statystyka, bo my statystyki nie mamy. Złodziejstwo stało się u nas tak stałym warunkiem istnienia społecznego, jak tyfus, śnieg lub robactwo ogrodowe. Z tym nieodstępnym czynnikiem liczyć się należy w każdym czasie, a zwłaszcza w czasie niedostatku, który jest jednym z ojców kradzieży. Przygotujmy się więc na to, że podczas bieżącej jesieni i zimy pomnożą się ono znacznie. A nawet już wzrosły. Kronika rabunków, prowadzona w pismach naszych, zawiera ledwie drobną cząstkę spełnionych. Zwłaszcza okolice podmiejskie oraz wsie, położone przy szosach i gościńcach uczęszczanych, są nawiedzane ciągle przez opryszków. Chodzą oni bandami, jeżdżą na wozach, okradając kolejno po drodze gospodarstwa włościańskie i dworskie lub też napadając przejeżdżających. Do jakiego stopnia dochodzi nieraz ich ośmielone bezkarnością zuchwalstwo, przekona jeden z wielu obrazków, nam znanych. Ponieważ chłopi dowożą produkty na targ warszawski nocą, więc powracając znużeni, drzemią na furach. Otóż złodzieje szosowi, upatrzywszy wóz nieco odsunięty, pchają go z tyłu, ażeby nie stanął a jadący nie obudził się, podczas gdy inni obrzynają konia. Naturalnie po skończonej operacyi przestają pchać, fura staje, chłop budzi się, konia nie widzi, tylko słyszy oddalający się tentent. Jeden z oporządzonych w ten sposób zostawił na szosie przed karczmą wóz, a sam poszedł do mieszkającego w sąsiedniej wsi brata, ażeby od niego pożyczyć konia. W godzinę zjawia się przy wozie jakiś człowiek, mianuje się bratem okradzionego, powiada, że poznał na drodze i odebrał odcięgtego konia, zaprzęga go i odjeżdża. Tymczasem był to odważny złodziej. Bardzo często tych oprawców wszyscy w okolicy znają, ale nie wskazują ich policyi i nie skarżą z obawy zemsty. Przejeżdżający, usłyszawszy na szosie krzyk napadniętego przez rabusiów, nie spieszy mu wcale na pomoc, gdyż jest przekonany, że mu tego nie darują i kiedykolwiek podpalą, okradną lub zabiją. Oprócz szajek, zorganizowanych na Szmulowiznie i innych przedmieściach, istnieją w okolicach Warszawy całe wsie, według opinii powszechnej zamieszkane wyłącznie przez złodziejów. Po przyległych zaś wsiach siedzą „paserzy," zwykle żydzi, którzy kierują temi wyprawami i nabywają przedmioty skradzione. Gdyby jakaś jasnowidząca statystyka obliczyła sumy tego rabunku i szkody jego ofiar, przeraziłaby nas wielkością swoich cyfr. Śmiało rzec można, że cyfry te dosięgają corocznie milionów rubli. Kontrybucyę złodziejską ponosi głównie lud. Dwory ubezpieczają się lepiej, czasem nawet utrzymują straż; chłop w nocy powierza całe swoje mienie głodnemu i latającemu po polach psu. Kto zaś myślą nie może zważyć i wyobrazić sobie klęski i rozpaczy chłopa, któremu skradziono konia, krowę lub wieprza, ten powinienby kiedykolwiek przypatrzyć się temu bolesnemu wypadkowi. Jak ci biedni ludzie cierpią, jak płaczą, jak latają po drogach z błędnemi oczami, pytając przechodniów, czy nie widzieli złodzieja uciekającego z ich dobytkiem! Takiej miny nie ma ten, kto przegrał nawet kilka tysięcy rubli w winta lub na giełdzie.

Straż bezpieczeństwa po wsiach nie jest dotychczas uorganizowana, jeżeli zaś ona w każdym czasie jest potrzebna, to tem bardziej obecnie, w roku biedy i zrodzonej przez nią niemoralności. Nadto byłoby nader pożądane, gdyby w promieniu kilkomilowym około Warszawy po drogach i gościńcach krążyły konne patrole na podobieństwo tych, jakie strzegą krańców naszego miasta. Bez tych lub innych środków ochronnych rozboje i kradzieże dojdą bezwątpienia do zatrważających rozmiarów.

Przewidując lub też widząc ciężką dolę swych pracowników, niektóre instytucye postanowiły ulżyć im brzemion w tym roku. Tu i owdzie mają być udzielone gratyfikacye, kolej Nadwiślańska zamierza skupować hurtownie artykuły żywności i sprzedawać je swym urzędnikom po cenach kosztu. Dbałość ta zasługuje na najwyższe uznanie. Dziwi też nas niezmiernie brak najsłabszych jej objawów na drodze Terespolskiej. Droga ta ukończyła uczczone w prasie 25-lecie swego istnienia. W życiorysach jej zaznaczono ze szczególnym naciskiem uczucia humanitarne kierowników i ich pieczę o dobro służby. Do pewnego stopnia ta pochwała jej się należy, ale nie w całym okresie życia. Wielkich ludzi, jak wielkie góry, można ocenić tylko zdaleka. Dziś, gdy nas od śmierci Leopolda Kronenberga, twórcy tej kolei, oddziela kilkanaście lat, widzimy jeszcze, że był to człowiek niepospolity, a intencye swoje umiał zwracać w kierunku dobra ogólnego. Zakładając drogę Terespolską, usiłował zabezpieczyć los jej pracowników. Nie jego wina, że pomysły dobre w swoim czasie okazały się następnie niedostatecznymi, że np. wprowadzona przez niego kasa emerytalna doszła do tego bankructwa, w jakiem obecnie się znajduje. Gdyby był żył dłużej, z pewnością dałby jej inną, lepszą podstawę i uchronił od ruiny, a jej uczestników od zawodu. Następca jego, dziś nieuleczalnie chory Stanisław, miał dobre chęci ojca, ale nie posiadał jego pomysłowej twórczości, energi i talentu organizacyjnego. Dwa zaś zarządy, którym powierzone było kierownictwo instytucyi, nie umiały przekroczyć obrębu zadań i dążeń czysto wykonawczych. Ostatni zwłaszcza przedstawia stary, zardzewiały i źle funkcyonujący motor, który dba tylko o to, ażeby maszyna nie stanęła. Pod względem ustroju wewnętrznego, starań o rozwój i ulepszenia, kolej Terespolska znajduje się w okresie niedaleko odsuniętym od Stephensonowskiego. Jest to już w dziedzinie komunikacyi parowej spleśniały anachronizm, wymagający gruntownego odrodzenia. Brak w nim życia, brak ducha, inicyatywy, wogóle czynników rozwoju. To z tej, to z owej strony starą budowę podpierają jej gospodarze, każdy jednak widzi, że ją odrestaurować trzeba. Ale pozostawmy tę sprawę na uboczu. W tej chwili zajmuje nas nie tyle jubileusz lub niedostatki kolei Terespolskiej, ile położenie jej pracowników wobec zaglądającej do nich drzwiami i oknami drożyzny. A jakkolwiek zarząd nie przyzwyczaił nas do podziwiania jego sprężystości i pamięci o podwładnych, przypuszczamy, że za przykładem innych instytucyj pomyśli o nich, zapomniawszy nieco o sobie. Jest to obowiązek, któremu gładko wymknąć się niepodobna. Drożyzna dotyka przedewszystkiem spożywców, są zaś nimi urzędnicy kolei, jak wogóle pracownicy biurowi. Oni nic wytwarzają niczego, nie mogą więc zrównoważyć korzyścią na produkcie sprzedanym strat na kupionym, bo kupić muszą wszystko. Tylko na litość, niechże ta kwe-

stya nie będzie rozwiązana zwykłym sposobem, wysoce humorystycznym, za pomocą gratyfikacyj, proporcyonalnych do pensyj. 5, 8 lub 10 rs. temu, co pobiera mało, a 10 lub 100 kroć więcej temu, co pobiera dużo — to jest metoda dająca się przebaczyć w epokach taniego, ale nie w czasach drogiego chleba. Już jeżeli nie można zastosować odwrotnej, to przynajmniej należy ustanowić mieszaną.

Literaci warszawscy zapewne z głębokiem westchnieniem wyczytali w gazetach zagranicznych wiadomość, że Marek Twain, nowelista amerykański, który w pewnej mierze bezrybiu zawdzięcza to, że jest rybą, wybrał się w podróż po Europie i od redakcyi *Sun'a* otrzymywać będzie 1,200 dolarów (przeszło 2,000 rs.) *za każdy*, nawet najkrótszy list. Za dwadzieścia korespondencyj, do których się zobowiązał, dostanie około 50,000 rs. Wątpię, czy któremukolwiek z naszych największych przyśniły się takie honoraria. A jakżeby one przydały się w tych ciężkich czasach — prawda? Niestety, literat warszawski, który o podobnych premiówkach autorskich nie marzy, nie ma żadnego zarządu lub dyrekcyi, do których zwróciłby się o zasiłek, a nawet skutkiem drożyzny, upadku prenumeraty i zastoju w handlu księgarskim może pewnego dnia usłyszeć od wydawców, że mu nie dadzą zarobku lub zniżą płacę. Te sieroty społeczne muszą błagać niebo o mannę i przepiórki.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nowe poslannictwo Maćka. — „Nie dla psa kiełbasa." — Sposób jej dostania.— Rąbek „raju parcelowego." — Echa nieurodzaju. — Przyszłość w panoramie dążności rynku.

Raz uznany przez „inteligentów" za naczynie dziwnego nabożeństwa, za przedstawiciela szczególnej „cywilizacyi chłopskiej," której winna „podporządkować się" wszelka inna, będąca od tamtej zdrożnem odstępstwem, raz okrzyknięty za zbawiciela: musi Maciek nieodzownie dźwigać wszystkie konsekwencye włożonego na jego barki przez dobre chęci — posłannictwa. Nietylko ma on uważać za swój święty obowiązek żywienie się zamiast kartaflami — mięsem (do czego zresztą nikt mu prawa nie odmówi), ale wynieść na swoim karku z toni dziejowej skołataną nawę gatunku... i tem samem ująć w swoje słabe ręce ster takich spraw produkcyi, którym ledwie podołać mogą krzepkie ramiona jej tytanów. W swoim czasie zalecała *Gazeta lubelska* drobiazgowi gospodarczemu, żeby wziął się na pazury i sam, w skupieniu sił liliputcich, poprowadził przemysł cukrowarski na pasku drobnokapitalistycznej przedsiębiorczości i tem poszedł niejako w zawody ze spółkami wielkiego kapitału. Dziś cieszy się ona, że myśl jej znalazła zwolennika, który ją rozwinął aż do rozmiarów nowego posłannictwa działalności Maćkowej. „Cukrownictwo w kraju naszym — czytamy— najpierw rozwinęło się szybko, później jednak przechodziło dosyć ciężkie chwile, teraz jednak znowu znajduje się w pomyślniejszych warunkach. Zwłaszcza w gubernii lubelskiej, gdzie istotnie przemysł cukrowniczy ma wszelkie warunki rozwoju, widać znaczny ruch w tym kierunku. Niedawno założona tam została większa cukrownia w Opolu, wraca do życia zamknięta cukrownia w Zakrzówku, a oprócz tego powstają na Powiślu aż trzy mniejsze tego rodzaju fabryki: w Józefowie, Piotrowinie i Kęble. (O tych trzech wyraża *Gaz. lubel.* zdziwienie, że ich nie zna). Takie małe spółkowe cukrownie istnieją w Czechach, u nas są to dopiero pierwsze próby. Koszt wybudowania małej cukrowni nie powinien przenosić 100, a najwyżej 150,000 rubli, właścicielami udziałów mogą być przeważnie okoliczni obywatele, tj. dostawcy buraków. Koszty wyrobu mączki cukrowej są tu niższe, chociażby nawet wydajność buraków była nieco mniejsza. Trudno wprawdzie zgodzić się na zdanie p. G. S., który o tych cukrowniach w *Gazecie lubelskiej* pisze, że one i gorzelnie rolnicze wydźwigną rolnictwo z biedy i nastanie w nich przedświt dobrobytu, ale niewątpliwie w wielu wypadkach mogą dać rezultaty bardzo korzystne." Czemu? Bo projektodawca, ożywiony pobożnem życzeniem wie, o czem, zdaje mu się, bardzo wielu nie wie, iż w Czechach „istnieją małe cukrownie gminne, które idą wybornie," a u nas w wielu okolicach, w pobliżu cukrowni „włościanie chętnie plantują buraki." A więc: „jeżeli gmina posiadać może swoje zbiorowe fundusze, grunty i budynki, stanowiące wspólną własność — wnioskuje szanowny demokrata odważnie — to ma prawo również prowadzić przedsiębiorstwo przemysłowe." Zapewne, Czechy, jako typowy wzór społeczeństwa powstałego z chłopów, jest przykładem, który zdaje się rozstrzygać sprawę zadawalająco i u socyologów naszych, pragnących świat odbudować z gliny kmiecej, budzi niepomierne nadzieje w lepszą przyszłość. Słusznie jednak i roztropnie czyni projektodawca, że rzucając w przestrzeń pytanie: „czy u nas podobne przedsiębiorstwa powstać by nie mogły?", wczas przypomina sobie o najważniejszym szkopule urzeczywistnienia tej „pięknej myśli" — o braku kapitału. Okoliczność tę nawet z sumiennością oględnego doradcy aż dwa razy podkreśla — ja też z nim również ją podkreślam i cieszę się niewymownie, że ona istnieje. Dobrze się stało, że jest pod ręką taka poważna przeszkoda, inaczej cywilizacya Maćkowa, gdyby „przy zakładaniu małych cukrowni ustanowiono niewielkie udziały," dostępne i dla niego, wystawiłaby się na ciężką próbę, któraby wykazała, że w gruncie rzeczy, przy warunkach sprzyjających, cywilizacya kmieca spotka się z „pańską." Maciek, stawszy się akcyonaryuszem nawet cukrowni gminnej, zafundowałby sobie niebawem, tak samo jak pan, parobków-najemników i w postaci dywidendy ciągnąłby z nich, kto wie zresztą, czy nie z równem powodzeniem — nadwartość. „Dusza" jego też musiałaby uledz skandalicznej zmianie.

Nie mam zamiaru, broń Boże, przeczyć wogóle kwalifikacyom Maćka na kapitalistę: zawsze pod tym względem miałem o nim jaknajlepsze wyobrażenie. Ale widzę najwięcej szans prawdopodobieństwa, że te jego zalety znajdą właściwe ujście na polu zabiegów gospodarczych—tylko u niektórych, bardziej uzdolnionych wewnętrznie i zewnętrznie osobników z jego warstwy, dostrzegam je najwyraźniej jedynie w tak zwanych „ciarachach," w chłopachdorobnikach, u jednostek bardziej przedsiębiorczych, które wykazały najwięcej zdolności w sztuce życia kosztem innych. Szary a liczny tłum Maćkowy, jeżeli nie wystąpi jaki *deus ex machina*, jak dotychczas pozostanie uwiązany na swoich parcelach, w zastoju zdolności gospodarczo-społecznych.

Co zaś do Czech, to są one w danej sprawie (jak zresztą i wielu innych) niewątpliwie wyrocznią. Ale niedarowana tylko szkoda, że, wskazując ją palcem, szanowny projektodawca uniósł się zazdrością i nie dał większej folgi informacyom — chociażby ze względu na ogólną niewiadomość... Zawsze obfitość dokładnych faktów więcej znaczy, niżeli gołosłowna wzmianka *). Chociażby nawet okazało się, że Czechy pod względem cukrownictwa chłopskiego stoją istotnie na poziomie nieposzlakowanego przykładu, to jeszcze, zapatrując się nań, długo Maciek będzie musiał sobie powtarzać: „nie dla psa kiełbasa!" Gdzie mu z motyką porywać się na słońce! Zanim ujmie w swoje ręce tak ważną i skartelizowaną już u nas gałąź przemysłu, musiałby wprzód przebyć nowicyat tresury w życiu współdzielczem, którego nawet tyle nie skosztował, co chociażby chłop poznański, następnie zdać egzamin dojrzałości z uzdolnień odpowiednich, zdobyć sobie rękojmię pomyślnego współzawodnictwa na rynku cukrowym, uzyskać specyalny dla siebie bank, któryby zapobiegł brakowi kapitału obrotowego, zasłać kilka gorących westchnień do nieba — i dopiero wtedy próbować szczęścia na nieznanej sobie niwie przedsiębierczości.

Póki tym warunkom nie odpowie, musi dreptać na swoim zagonie; dźwigać brzemię skutków swojej techniki drobnogospodarczej i narażać się na takie skandale (i co gorsza — dolegliwości ich), o jakich powiada *Tydzień* piotrkowski: „Zewsząd z gubernii naszej dochodzą nas wieści o klęsce, jaką poniosło rolnictwo z powodu nieurodzaju żyta i częściowego zgnicia kartofli. Położenie gospodarstw włościańskich jest jeszcze gorsze, niż własności większej, *z powodu nieumiejętnej, spóźnionej i niedbałej uprawy roli, oraz zupełnego braku kultury na chłopskich parcelach.* Z tych to właśnie powodów włościanie nasi zebrali w tym roku żyta *zaledwie trzecią* część, a nawet *czwartą* wysianej ilości, tak, że już teraz nie mają go nietylko na sprzedaż, ale na odsiew obecny, a kartofle u nich bardzo nieplenne i niezdrowe. Nędza więc między nimi, jakiej dawno najstarsi ludzie nie pamiętają— a nadzieje na rok przyszły żadne, wobec niedostatecznego obsiewu ozimin..." To, co tu jest powiedzane o stanie gospodarki kmiecej i jej tegorocznych skutkach w piotrkowskiem, może być typowym wskaźnikiem położenia rzeczy bodaj i dla innych miejscowości kraju.

Pewnych danych niema co do przyczyn, ale pisma prowincyonalne notują skrzętnie szczegóły skutków nieurodzaju. Końskie np. znajduje się w bardzo przykrem położeniu: produkty spożywcze codzień podnoszą się w cenie, a chleb zdrożał już do wysokości 4 kop. na funcie i jest pośledniego gatunku: ciemny, niewypieczony, z mąki pomieszanej z jęczmienną i plewami. „Takim chlebem — powiada korespondent *Gaz. rad.* — karmią nas nasi piekarze, a nadomiar złego od paru dni zupełnie kawałka chleba dostać nie można, ponieważ panowie piekarze nie produkują go, żądając podniesienia ceny na 5 kop. za funt. Policya, co może, to robi, oddaje na drogę sądową upartych, lecz to nie zupełnie pomaga." Nie weselej brzmią wieści z Radomskiego: nieurodzaj dotknął całą prawie gubernię, a w Radomiu chleb pytlowy kosztuje $4\frac{1}{2}$ k., razowy $3\frac{3}{4}$, funt bułki pszennej 3 do 10. Najgorsze to, że korzec kartofli wynosi 2 rs. 40 kop. W Lublinie zaś zdrożała ona o 100%: w 1890 korzec tam ceniono 1 rs., dziś nabyć można za 2! A produkt to najważniejszy dla klas pracujących. „W Radomsku — powiada *Tydzień* — z powodu niedostatecznego dowozu na targ miejscowy, w d. 18 b. m. kartofli — robotnicy z miejscowych fabryk rozebrali między sobą kartofle z dwóch wozów, wiezione jako dostawę do stacyi towarowej drogi żelaznej. Oczywiście, za zabrane kartofle czuli się w obowiązku zapłacić, według umiarkowanej podług siebie normy." „W d. 19 b. m. w Będzinie — donosi tenże *Tydzień* — zabrakło chleba; spekulanci podnieśli jego cenę, wierząc, że młyny stoją nieczynne, a zamówiony wagon żyta z kraju, który miał przybyć w wilię tego dnia, nie został dostawiony z Sosnowca. Dopiero na skutek reklamacyi zawiadowcy przystanku Będzin, dostawiono zboże po południu w sobotę." Wobec drożyzny pierwszych potrzeb do życia, objawiać się zaczyna w ostatnich czasach w klasie najemniczej pragnienie zwyżki zarobków. Oto co

*) Postaramy się wkrótce, lecz na innem miejscu, odsłonić rąbek prawdy w tej sprawie. *Przyp. autora.*

w tej mierze donosi *Tydzień*: „Co do zaburzeń (o których gdzieindziej zamieszczamy sprawozdanie urzędowe) wynikłych przed dwoma tygodniami w Zawierciu pomiędzy robotnikami, to ograniczyły one na grabieży 16 sklepów, przeważnie z pieczywem. Po większej części za chleb zabierany przemocą z owych sklepów, robotnicy płacili gotówką, tylko że nie po kop. 6 za funt, jak żądali piekarze, ale po 4. Obecnie, na zasadzie przewidywanego wzrostu drożyzny najpierwszych potrzeb życia, domaga się ludność fabryczna zwiększenia płacy; fabryka jednak woli dopłacać zwyżkę na podrożeniu chleba, jak dotąd po kop. 1 na funcie. Nieporozumienie nie zostało jeszcze (tj. do 27 września) ostatecznie załagodzone; ale jest nadzieja pomyślnego tegoż załatwienia.“

„Za wszystko płaci konsument!“ — wykrzyknje ktoś w *Tygodniu*. „Że kartofle są u nas po 16 groszy garniec, że mąka i chleb zdrożały — jest rzeczą naturalną; ale podniosły się nadto nietylko ceny kasz, choć jarzyny obrodziły, krochmalu, choć i pszenica dopisała — ale nawet takich rzeczy jak... mydło! Zapewne, ciężko jest płacić nawet za wytwór, którym się czyści grzeszne ciało, ale ten kto temu się dziwi, nie zna istoty rynku. Zgotuje on tego roku jeszcze większe niespodzianki. Drożyzna produktów spożywczych bezpośrednio, o ile wpływa na wzrost płacy zarobczej po kopalniach, odbić zechcą wytwórcy na cenie np. węgla, jeżeli do tego dołączymy zwiększone pozycye u najemnika w wydatkach na kartofle i chleb, to i pośrednio, o ile zarobek ich zachowa dawną normę, poczują oni brak opału, na którym zaczną oszczędzać. Szczęście jeżeli zima będzie lekka!.. Za drożyzną ziemiopłodów nieodzownie pojdzie (zresztą już idzie) zdrożenie masła i słoniny. A dodajmyż do tego spekulacye sklepikarskie, to otrzymamy wymowną panoramę przyszłości.

Z. Atanazy.

Warszawskij Dniewnik pisze: „We wsi Zawiercie, w pow. będzińskim, gub. piotrkowskiej, nadzwyczajne podniesienie przez piekarzy cen chleba wywołało silne niezadowolenie robotników, które zamieniło się w poważne zawichrzenia. W d. 12 września wieczorem robotnicy, przeważnie z miejscowej akcyjnej przędzalni bawełny, zaczęli chodzić niewielkiemi partyami po sklepach i piekarniach, domagając się, aby im sprzedawano chleb żytni pytlowy po cenie, ustanowionej przez władzę dla tej miejscowości, tj. po kop. 4 za funt. Cena taka figurowała w taksie, zatwierdzonej przez naczelnika powiatu i wywieszonej w wielu miejscach dla wiadomości robotników; tymczasem piekarze wbrew temu rozporządzeniu sprzedawali chleb po kop. 5 za funt, a w niektórych sklepikach żydowskich nawet po 6 i 6½ kop. Odmowa piekarzy i kramarzy sprzedawania chleba według ustanowionej taksy oburzała robotników, którzy, zbierając się tłumnie około kramów, sami zaczęli zabierać chleb. W tych sklepikach, które były pozamykane, robotnicy rozbijali kamieniami okna i drzwi, a wdarłszy się do środka, zabierali nietylko chleb, ale i inne artykuły żywności i drobne towary. Pomiędzy innemi tłum robotników podszedł także do piekarni Stanisława Szczecińskiego, jedynego w miasteczku sprzedawcy chleba chrześcianina (wszyscy inni są żydami). Na żądanie, aby sprzedawał chleb po ustanowionej cenie, Szczeciński odpow[illegible]dział wymyślaniem i rozkazawszy swoim pa[illegible]om wypędzić tłum ze sklepu, zamknął dom, [illegible]dawszy przedtem, dla odstraszenia, dwa wystrzały z rewolweru, które nikomu nic zrządziły żadnej szkody. Przybyli na miejsce strażnicy ziemscy, widząc rozdrażnienie tłumu, namówili Szczecińskiego do otworzenia sklepu i sprzedawania chleba po 4 kop. Sklep został otworzony, lecz robotnicy, rozjątrzeni już przeciwko jego właścicielowi, zaczęli burzyć jego mieszkanie, łamiąc i niszcząc wszystko, co im wpadło w ręce. Samego Szczecińskiego odnaleźli ukrytego w szopie, skąd go wyciągnęli; broniąc się, piekarz jeszcze raz wystrzelił i zranił robotnika Franciszka Jache. To jeszcze bardziej wzburzyło tłum, który pobił silnie Szczecińskiego i jego żonę, a od śmierci ocalilo ich tylko wdanie się policyi i kilku osób prywatnych. Pobicie, jakiemu uległ Szczeciński, było tak silne, że okazała się potrzeba natychmiastowego odesłania pobitych do miejscowego szpitala. Nadto podczas zaburzenia zadane zostały tępem narzędziem ciężkie rany w głowę piekarzowi, żydowi, Langerowi Krawcowi. Około godz. 2-ej po południu robotnicy się uspokoili i zaczęli się rozchodzić do domów; ale nazajutrz, 13-go września, zaczęli się znowu burzyć i oswobodzili z aresztu trzech swoich towarzyszów, aresztowanych poprzedniego dnia przez strażników ziemskich i grozili zburzeniem jatek mięsnych. Przyjazd naczelnika straży ziemskiej i przybycie potem 6-ej sotni 14-go pułku kozaków dońskich zapobiegło dalszym zawichrzeniom. Śledztwo policyjne wykryło, że w zawichrzeniach przyjmowało udział około 500 ludzi, którymi kierowało 18-tu, przeważnie także z liczby miejscowych robotników; rozbito 12 sklepów i 5 piekarń. Administracya fabryki akcyjnej w nocy z 12 na 13 września dostarczyła z Częstochowy 900 bochenków, które 13 września sprzedawano po kop. 4 za funt. Obecnie jednak wyjaśniono, że piekarze nie mogą sprzedawać chleba niżej 5 kop. za funt i dlatego taksa będzie zrewidowana i odpowiednio do tego zmieniona.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W szeregu środków przeciwogniowych postanowiono zabronić na wsi krycia dachów słomą. Jako najtańszy środek zalecono masę specyalną, siekaninę słomy i wrzosu z gliną. Dla udoskonalenia tego materyału, ministeryum dóbr państwa ogłosiło premia na najlepszy gatunek.

— Ustawa wekslowa wprowadzona będzie w całem państwie, z wyjątkiem Królestwa Polskiego, gdzie pozostanie czasowo dawna procedura dochodzenia należności z zobowiązań wekslowych.

— Przy ochronach na Nowej Pradze i za rogatkami wolskiemi otwarto czytelnie bezpłatne.

— *Warsz. Dniew.* donosi, iż w Warszawie powstanie oddzielny klub ruskich welocypedystów.

— *Izraelita* donosi za *Standardem*, iż 7,000 żydów z Berdyczowa udało się w tych czasach do Argentyny. Z Kijowa, Odesy i Kiszyniewa 2,000 do Ameryki i Australii.

— Komitet budowlany wystąpił z przedstawieniem, aby przy kosztorysach dalszych robót kanalizacyjnych i wodociągowych w Warszawie przeznaczono pewien fundusz dla robotników na zasiłek w razie kalectwa.

— Z początkiem roku przyszłego płace urzędników w oddziałach Banku państwa w Cesarstwie będą powiększone i zrównane z istniejącemi obecnie w Królestwie Polskiem.

— Policya lwowska przytrzymała w tych dniach trzy rodziny włościańskie, składające się z 20-tu osób, które zamierzały emigrować do Ameryki. W miejscowości, skąd pochodzą (gmina Berezowice, pow. zbaraski) panuje straszna nędza.

— Bank ziemski w Poznaniu, założony celem przeciwdziałania kolonizacyi, ogłosił sprawozdanie roczne. W ciągu trzyletniego istnienia instytucya ta rozparcelowała 18,500 morgów, wartości 2½ milionów. Z tego sprzedano 14,500 mor.

— *Nordd. Alg. Ztg.* przemawia za projektem zakładania magazynów zbożowych, aby potrzeby niezaspokajane przez zbiory przynajmniej na rok jeden zabezpieczyć.

— Skutkiem uchwały na zebraniu Towarzystw zaatlantyckiej żeglugi morskiej, wychodźcy, udający się do Ameryki, badani będą pod względem majątkowym przez delegowanych w tym celu agentów.

— Sądy paryskie wydały wyrok w sprawie katastrofy w Saint-Mandé. Caron, maszynista skazany został na dwa lata więzienia, Daguerrois, pomocnik zawiadowcy stacyi Vincenes, na cztery miesiące. Jednocześnie trybunał przysądził szereg odszkodowań osobom, dotkniętym katastrofą.

Dobroczynność publiczna. Warszawska Rada miejska dobroczynności publicznej przyjęła zapisy: hr. Raczyńskiej rocznej renty 1,000 rs. dla filiura nędzy wyjątkowej w Warszawie; Janusza Roztworowskiego: dla szpitala dziecięcego, tytułem wieczystego funduszu 3,000 rs., dla Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi 3,000 i dla przytułku opieki N. Maryi P. 3,000 rs.; Emilii hr. Załuskiej 1,000 rs. dla przytułku paralityków.

— Verdi wznosi obecnie w Medyolanie przytułek dla chorych i wiekowych artystów, kosztem pół miliona franków. Na utrzymanie instytucyi kompozytor ofiarował dwa miliony fr.

Szkoły. Pan minister oświaty przybył do Warszawy i zwiedził zakłady naukowe.

— W tych dniach otworzono w Warszawie szkołę dentystyczną p. Jamesa Levy. Kurs nauk rozdzielono na pięć semestrów, obejmujących oprócz zajęć praktycznych następujące przedmioty teoretyczne: fizyka i chemia (wykład p. Ławrowa), laboranta uniwersytetu), anatomia opisowa (dr. Przewoski), nauka leczenia zębów (James Levy), fizyologia i histologia (profesor uniw. dr. Nawrocki), specyalna anatomia zębów (prof. uniwers. dr. Jaszczyński), farmakologia i receptura (prof. dr. Nikolski), patologia i terapia chorób zębów i dziąseł (dr. Kobyliński) i specyalna chirurgia podniebienia i krtani (dr. Heryng). Wychowańcy szkół otrzymują stopnie lekarzy-dentystów z prawem zapisywania recept i mają pod względem powinności wojskowej ulgi I-go rzędu, na równi z kończącymi uniwersytet. Kandydaci obojga płci (których się już zapisało 38 mężczyzn i 20 kobiet) przyjmowani są nie młodsi, jak 17-letni ze świadectwami przynajmniej kursu 6-ciu klas gimnazyalnych. Opłata 75 rs. za semestr, czyli 150 rocznie. Pomoc lekarska w ambulatoryum dla przychodzących chorych bezpłatna, inne operacye dentystyczne według taksy przystępnej. Obecnie otwarto tylko I-szy kurs. Szkoła mieści się na Krakowskiem-Przedmieściu nr. 9. Kierunek objął dr. Wasiliew, naczelny lekarz szpitala Św. Rocha.

— W szkole sztygarów w Dąbrowie Górniczej otwarto trzecią klasę. Czwarta i ostatnia powstanie w przyszłym roku szkolnym.

— Komisya, pracująca nad sprawą wychowania żeńskiego, uznała za najodpowiedniejsze przekształcenie gimnazyów żeńskich i szkół miejskich dla dziewcząt na wzór maryjskich, które w czteroletnim kursie obejmują zamknięty program elementarny, a nadto kształcą uczenice w rękodziełach, dając zupełnie dostateczne przygotowanie do wstąpienia na fachowe kursy żeńskie.

— *Nowosti* donoszą, iż prof. uniwersytetu petersburskiego, Dokuczajew i docent noworuskiego, Baraków, zostali delegowani do Instytutu gospodarstwa wiejskiego w Nowej-Aleksandryi (Puławach), w celu zebrania na miejscu materyałów do ostatniego rozstrzygnięcia sprawy istnienia zakładu.

— Postanowiono całkowicie przekształcić instytuty technologiczne i techniczne, ze szczególnem uwzględnieniem kierunku praktycznego. W tym celu postanowiono przyjmować do tych zakładów uczniów, mających lat 12, po złożeniu egzaminu wstępnego z kursu dwóch klas szkół realnych. Zajęcia uczniów do lat 18-tu będą się składały z nauki praktycznej rzemiosł (ślusarstwa), w warsztatach mechanicznych przynajmniej 7 godzin i dwóch godzin nauki teoretycznej w klasach. Po 6-letnim kursie wstępnym wychowańcy będą przechodzili na wyższe kursy studenckie, gdzie zajęcia praktyczne mają trwać 2 godziny dziennie, a teoretyczne —6.

— Organizuje się nowe Towarzystwo do szerzenia w Finlandyi znajomości języka ruskiego. Działalność będzie polegała na zakładaniu kursów języka ruskiego, tudzież ruskich szkół elementarnych.

Sprawy kolejowe. Urzędnicy zarządu kolei Nadwiślańskiej, przez wybranych ze wszystkich wydziałów delegatów zwrócili się do dyrektora zarządu z prośbą o uwzględnienie trudnego położenia, szczególnie pracowników zajmujących niższe stanowiska, w obec ogólnej drożyzny i małych płac etatowych całej służby tej kolei. Dyrektor, p. Daragan, przyrzekł poparcie, nie tając jednak, iż z powodu zaleconej przez władze decydujące oszczędności, spełnienie ich życzeń nie będzie łatwe. (*Kur. warsz.*).

— Do rady państwa wniesiono projekt budowy nowego oddziału kolei Zakaspijskiej od Krasnowodska i Mołta Kara.

— Na stacyi Praga kolei Nadwiślańskiej rozpoczęto budowę trzech domów mieszkalnych dla rodzin służby stacyjnej, na które wyznaczono rs. 26,500. Jednocześnie także domy w ciągu r. b. wybudowane będą na stacyach: Nowoaleksandrya, Rejowiec i Chełm.

— Departament kolejowy polecił tutejszym zarządom dróg żelaznych wypracowanie projektu nowych taryf bezpośredniej komunikacyi towarowej od stacyj

Sosnowice drogi Wiedeńskiej i Dąbrowskiej do stacyj kolei niemieckich.

— Uzyskał zatwierdzenie inspekcyi rządowej projekt budowy domu mieszkalnego w Sosnowicach na pomieszczenie biura miejscowego *depôt* i pokojów noclegowych dla maszynistów.

— Dyrekcya kolei Wiedeńskiej poleciła sporządzić wykaz urzędników, którzy nie awansowali w ciągu ostatnich lat pięciu, w celu odpowiedniego powiększenia ich pensyj.

— Etat osobowy wydziału mechanicznego kolei Wiedeńskiej w roku przyszłym będzie podwyższony o 8,000 rs. na uposażenie inżenierów i urzędników sekcyj technicznych.

Przemysł i handel. Kilku hodowców jedwabników wystąpiło z przedstawieniem potrzeby utworzenia kursu jedwabnictwa, niezbędnego dla podniesienia tej gałęzi przemysłu.

— Kilku fabrykantów płótna zrobiło podanie o podwyższenie cła od tego przedmiotu, sprowadzanego z zagranicy.

Wystawy. W Warszawie trwała przez trzy dni wystawa pomologiczna urządzona przez członków zarządu Towarzystwa ogrodniczego, p. G. Ulricha.

— Ogłoszono ustawy komitetu wystawy narodowej, przemysłowej i międzynarodowej sztuk pięknych w Rzymie. Otwarcie nastąpi w listopadzie r. 1895. Kapitał zebrany będzie w drodze akcyj i obligacyj 100-frankowych.

Zjazdy. W Borysoglebsku 10 b. m. odbędzie się zjazd inżenierów kolejowych.

— W Wiedniu otwarto międzynarodowy kongres statystyczny.

Konkurs. Z końcem r. b. upływa termin do składania Akademii lekarskiej w Turynie prac konkursowych dla otrzymania nagrody Ribernego. Wynosi ona 20,000 fr. za najlepszą rzecz „o naturze i środkach zapobiegawczych jednej lub wielu chorobom zaraźliwym u ludzi."

Zdrowie publiczne. Na mocy rewizyi mieszkań w Warszawie, 14 lokali zaliczono do niezdatnych na pomieszczenie ludzi. Tam, gdzie żadne przeróbki nie zapobiegną złym warunkom zdrowotnym, mieszkania będą na zawsze zamknięte, których pod surową odpowiedzialnością prawną nie wolno wynajmować.

— Niezależnie od sanitarnych rewizyj mieszkań w Warszawie, p. oberpolicmajster polecił robić peryodyczne oględziny mieszkań robotników, zakładów przemysłowych, fabryk, warsztatów, mykw, łaźni, kąpieli, domów modlitwy i chederów. Dotąd wykonano 547 takich rewizyj i skazano 28 właścicieli nieruchomości, jednego fabrykanta i 3 utrzymujących chedery na kary pieniężne.

Bibliografia. E. Bogusławski. *Szkice lito-wendyjskie*, str. 226.

— Dr. I. Leo. *Podatek od spadków* w teoryi i praktyce skarbowej państw europejskich, str. 220, Kraków.

— I. Bohdanowicz. *Podręcznik fotografii dla amatorów*, str. 124. Warszawa. Gebethner i Wolff.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu W. B. w Lublinie. Nie otrzymawszy ani prenumeraty, ani uwiadomienia listownego, nie wysyłamy *Prawdy* z zasady. Dla abonenta jest to małym trudem i kosztem napisać kartę korespondencyjną do redakcyi, ażeby mu nie przerywano wysyłki; ale dla redakcyi jest wielką przykrością i znaczną stratą odbierać zwrócone numery i ostre wymówki za to, że otrzymują wydawnictwo, którego nie opłacili i nie zażądali.

Xyz. Wiersze Pańskie muszą z konieczności mierzyć się z utworami znakomitych poetów, którzy te same wątki rozsnuwali. Takie porównanie uwydatnia olbrzymią różnicę i wykazuje, że podjął Pan zadanie nad obecne swoje siły. Co do formy — w pierwszym jest ona dosyć gładka, w drugim — chropowata.

Panu I. N w Zamościu. Wysłano za pobraniem pocztowem; należy nam się rs. 1 k. 30.

A. J. Treść ładna, forma dość poprawna, ale nie do druku.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Сентября 1891 r. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**